Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się

Głos Nauczycielski

CENTRALNY ORGAN ZWIĄZKU ZAWODOWEGO NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO

Nr 43 WARSZAWA, 21 PAŹDZIERNIKA 1956 R. CENA 30 GR

Lepiej przesolić niż nie dosolić

NIE było w Polsce przedwojennej terenu, gdzieby nie występowało zagadnienie mniejszości narodowych. Ukraińcy, Białorusini, Rosjanie, Litwini, Niemcy i Żydzi oto wiele milionów ludzi, którzy mniej lub bardziej energicznie i stale domagali się dla swoich dzieci szkoły z ojczystym językiem nauczania. Bowiem — poza równym ze wszystkimi obywatelami prawem do życia i pracy we wspólnej ojczyźnie — przede wszystkim przez szkołę mogą się w państwie wielonarodowościowym realizować równe prawa poszczególnych ugrupowań narodowych. Właśnie szkoła, a zwłaszcza odrębna szkoła podstawowa z językiem ojczystym jest w oczach mniejszości narodowych wskaźnikiem troski państwa o dzieci, gwarancją możności pielęgnowania własnego języka ojczystego, własnej kultury, zwyczajów i obyczajów.

Nie trzeba przypominać, że wielomilionowe rzesze mniejszości narodowych w przedwrześniowej Polsce nie miały zbyt wiele okazji do realizowania swoich praw narodowych w tej formie, jaką jest szkoła. Przeciwnie — szkoła, właśnie szkoła była sprawą najbardziej jątrzącą te narodowości. Szkoła, właśnie szkoła stosowała ucisk narodowościowy ucząc małe dzieci w języku państwowym, którego one nie rozumiały lub rozumiały słabo. Szkoła, właśnie publiczna, polska szkoła, do której mniejszości narodowe musiały posyłać swoje dzieci, była w warunkach Polski międzywojennej nacjonalistyczną pułapką, zastawioną na dziecko ukraińskie, białoruskie, litewskie czy inne.

Tylko wtedy, gdy staniemy na gruncie prawa mniejszości narodowych do własnej szkoły, zrozumieć możemy tragizm przemówienia jednego z posłów mniejszości, który na posiedzeniu Rady Stanu Królestwa Polskiego w 1918 roku, w dyskusji nad projektem dekretu o obowiązku szkolnym, nie mogąc wywalczyć zrozumienia dla interesów mniejszości narodowych w zakresie szkolnictwa oświadczył, że wprowadzenie powszechnego obowiązku nauczania, jeśli nie będzie utworzona dla mniejszości sieć szkół państwowych z ojczystym językiem nauczania, odczute będzie przez te mniejszości nie jako dobrodziejstwo, lecz jako wielkie nieszczęście. Na tym właśnie gruncie, na gruncie przekreślania podstawowych praw każdego narodu do pielęgnowania jego mowy i kultury ojczystej, co przede wszystkim dokonuje się w szkole, rodziło się negatywne ustosunkowanie i brak zaufania mniejszości narodowych do przedwojennego państwa polskiego.

Jest rzeczą zrozumiałą, że w państwie wielonarodowym łatwo o nacjonalizm, który rodzi się i umacnia na błędach zarówno narodu dominującego w stosunku do mniejszości, jak i odwrotnie. Ale — „należy odróżnić nacjonalizm narodu uciskającego od nacjonalizmu narodu uciskanego, nacjonalizm narodu wielkiego od nacjonalizmu narodu małego" — mówi Lenin. Wykazuje on, że to właśnie nacjonały wielkiego narodu są zwykle winni gwałtów w stosunku do mniejszości, że internacjonalizm ze strony wielkiego narodu powinien zatem polegać nie tylko na przestrzeganiu formalnej równości narodów, lecz również na takiej nierówności, która rekompensowałaby ze strony narodu uciskającego tę nierówność, jaka kształtuje się w życiu faktycznie. I dlatego Lenin radzi: „...lepiej przesolić na rzecz ustępliwości i łagodności wobec mniejszości narodowych niż nie dosolić".

Czy pamiętaliśmy o tej wskazówce Lenina przy organizowaniu naszego szkolnictwa po zakończeniu drugiej wojny światowej? Zdaje się, że przez długi czas nie. Można by nawet powiedzieć, że budowę naszej powojennej rzeczywistości zaczęliśmy jakby w jakiejś swoistej hipnozie narodowościowej. Na skutek wyniszczenia ludności żydowskiej przez hitleryzm oraz zasugerowani faktem połączenia terenów zamieszkałych przez zwarte skupiska Ukraińców i Białorusinów ze swoimi macierzystymi krajami, faktem przesiedlenia Niemców z terenu ziem odzyskanych za granicę, sądziliśmy, że skoro z państwa wielonarodowego, jakim była Polska w okresie międzywojennym, staliśmy się **w zasadzie** państwem jednonarodowym, uwolniliśmy się tym samym od wszelkich „mniejszościowych kłopotów".

A może to nie była sugestia, lecz po prostu zakłamanie? Jeżeli bowiem chcieliśmy, by szkolnictwo polskie było „socjalistyczne w treści i narodowe w formie", to dlaczego tej samej zasady nie stosowaliśmy do żyjących w Polsce Ludowej mniejszości? I w rezultacie albo przez kilka lat w ogóle nie widzieliśmy lub tolerowaliśmy to, że dzieci niektórych narodowości wcale do szkoły nie chodziły (np. Niemcy), albo uważaliśmy za rzecz normalną, że dzieci mniejszości narodowych uczęszczały do szkół z polskim językiem nauczania (np. Ukraińcy). I chociaż ostatecznie zorganizowaliśmy w zasadzie szkolnictwo z niepolskim językiem nauczania, to jednak przez 12 lat w ogóle nie pisaliśmy o tej sprawie, o sprawie, która istnieje, która żąda rozwiązania, a w której popełniliśmy sporo błędów.

Wymieńmy choćby niektóre z nich. Weźmy np. szkolnictwo białoruskie. Mieliśmy trochę takich szkół i przed wojną, a w okresie władzy radzieckiej, tj. w latach 1939—1941, w samym tylko powiecie bielsko-podlaskim (w ówczesnych granicach) było 109 szkół białoruskich. Nic przeto dziwnego, że po powstaniu Polski Ludowej, szkoły te zaczęły się z powrotem organizować. Ale wtedy, nawet demokratyczne, zdawałoby się, władze szkolne dyskryminowały po prostu to szkolnictwo. Dość wspomnieć sprawozdanie powizytacyjne jednego z ówczesnych wizytatorów Kuratorium Białostockiego, w którym wyraził on pogląd, że organizowanie szkolnictwa białoruskiego sprzeciwia się umowie polsko-radzieckiej o repatriacji, gdyż uruchamiając szkoły białoruskie chcemy zatrzymać Białorusinów w kraju, zamiast zrobić wszystko, by oni Polskę opuścili. Nic dziwnego, że takie nastawienie władz szkolnych nie stwarzało sprzyjającej atmosfery do rozwoju szkolnictwa białoruskiego, które po prostu upadło tak, że na jesieni 1949 roku trzeba było przystąpić do ponownego organizowania szkół białoruskich.

Podobnie już w 1946 roku ludność litewska zamieszkująca w kilku gminach powiatu suwalskiego w liczbie około 6 000 osób sygnalizowała potrzebę nauczania ich dzieci uczęszczających do szkół polskich choćby tylko języka litewskiego — by nie mówić o odrębnych szkołach — lecz sygnały te były bagatelizowane i tłumione tak, że dopiero w 1951 roku dokonano pierwszych posunięć organizacyjnych w tym zakresie.

A szkoły dla dzieci niemieckich? Powinno być naszą ambicją, wyrazem naszej dojrzałości internacjonalistycznej i udowodnić to powinniśmy faktami, że stać Polskę Ludową na wychowanie takiego pokolenia Niemców mieszkających u nas, które by potrafiło harmonijnie połączyć obywatelskie przywiązanie do Polski Ludowej z poczuciem kulturalnej łączności z narodem niemieckim. A tymczasem dzieci niemieckie przez 5 lat w ogóle do żadnej szkoły nie chodziły, uczyły się tylko w prywatnych kompletach i dopiero w 1950 r. przystąpiono do organizowania pierwszych szkół dla nich.

A czy nie za mała była nasza troska o potrzeby szkolnictwa na tak trudnym terenie jak Orawa, zwłaszcza że mieliśmy tu zdecydowanie negatywną postawę polskiego kleru, jeśli chodzi o sprawę organizowania szkół ze słowackim językiem nauczania?

NIE jest naszym celem analizować w tym artykule całego zagadnienia szkolnictwa z niepolskim językiem nauczania. Ograniczamy się tylko do postawienia tego zagadnienia, do zasygnalizowania, że spraw szkolnictwa mniejszości narodowych niesposób już dłużej trzymać pod korcem.

W chwili obecnej mamy już, zdaje się, poza sobą wahania czy organizować to szkolnictwo, czy go nie organizować. Szkolnictwo z niepolskim językiem nauczania istnieje i rozwija się. W roku bieżącym mamy 125 szkół podstawowych z niemieckim językiem nauczania, 56 z jęz. białoruskim, 29 ze słowackim, 5 z żydowskim, 5 z litewskim, 1 z czeskim, przystąpiliśmy również do organizowania szkół z ukraińskim językiem nauczania. Mamy 7 szkół jedenastoletnich (2 białoruskie, 2 żydowskie, 1 słowacką, 1 niemiecką i 1 litewską), mamy 4 licea pedagogiczne (2 białoruskie, 1 niemieckie i 1 ukraińskie). Warto zaznaczyć, że w szkołach dla dzieci żydowskich większość przedmiotów nauczania prowadzi się w języku polskim (ze względu na trudności kadrowe i życzenie rodziców). Oprócz tego istnieją szkoły, w których język ojczysty niepolskich narodowości jest wykładany tylko jako przedmiot, a więc 113 szkół, w których uczy się języka białoruskiego, w 144 uczy się ukraińskiego, w 14 — litewskiego, w 8 — niemieckiego, w 4 — żydowskiego, w 3 — słowackiego; oraz licea, a mianowicie 1 liceum, gdzie uczy się języka białoruskiego, 1 — gdzie uczy się litewskiego i 1 — ukraińskiego.

Trzeba to podkreślić, że dopiero na VII Plenum KC PZPR w referacie tow. Ochaba po raz pierwszy od zakończenia wojny znalazł się w oficjalnym wystąpieniu odpowiedzialnego kierownika naszego życia politycznego termin „mniejszości narodowe". Przyznaliśmy się do faktu istnienia mniejszości i już choćby to należy uznać za przełom w tej dziedzinie. Na sprawę szkolnictwa z niepolskim językiem nauczania musimy przeto spojrzeć w ramach ogólnej, politycznej i społecznej odnowy naszego życia, jaką zainicjował XX Zjazd KPZR i VII Plenum KC PZPR.

Właśnie kraj jednonarodowy (jakim niewątpliwie jesteśmy mimo mieszkającej u nas ludności niepolskiej) silny jest tym, że umożliwia i pomaga obywatelom mniejszości narodowych w pielęgnowaniu ich języka ojczystego, kultury narodowej, zwyczajów i obyczajów. Nie mogą nas kusić małe liczby ludności niektórych narodowości do tego, by próbować je wynarodowić i wchłonąć. Nawet lekki w tym kierunku ucisk ludności dominującej sprzeciwia się przytoczonej zasadzie Lenina, budzi — bo budzić musi — opór uciskanej mniejszości, rodzi szowinizm. W państwie demokratycznym, deklarującym kierowanie się zasadami internacjonalizmu, konieczne jest stworzenie takiej atmosfery, aby mniejszości narodowe mogły swobodnie rozwijać swoją oświatę i kulturę „socjalistyczną w treści i narodową w formie".

CO jest do zrobienia w tym zakresie? Można by, dotykając spraw najważniejszych, mówić tu o zadaniach organizacyjnych w zakresie sieci szkolnej, o programach nauczania, podręcznikach i pomocach szkolnych i wreszcie o zagadnieniu kadr nauczycielskich.

Jeśli chodzi o sieć szkolną, to w zasadzie sprawa nie jest zbyt skomplikowana. Są oczywiście trudności terenowe w zakresie utworzenia sieci szkół wyżej zorganizowanych, ale trudności te są zbliżone do analogicznych kłopotów w szkolnictwie polskim. Niemniej wydaje się, że gdzie jak gdzie, ale właśnie w tych sprawach trzeba korzystać z rady Lenina, by „raczej przesolić niż nie dosolić", to znaczy, że lepiej stosować bardziej liberalne kryteria dla podniesienia stopnia organizacyjnego szkół, niż to przewidują normy dla szkolnictwa z polskim językiem nauczania.

To samo trzeba by powiedzieć o bazie materialnej. Wydaje się niesłuszną zasada formalnie równorzędnego traktowania niektórych szkół niepolskich przy zaopatrywaniu ich przez wydziały oświaty z budżetu bieżącego. Przecież niektóre szkoły, jak np. niemieckie, litewskie czy ukraińskie, powstały później niż polskie, stan ich zaopatrzenia jest przeto prawdopodobnie uboższy i dlatego potrzebne chyba są bardziej wydatne dotacje dla wyrównania braków ich zaopatrzenia. W nędznym budynku szkolnym, w słabym wyposażeniu w pomoce naukowe czy w innych brakach gospodarczych mniejszość narodowa zbyt prędko i łatwo dopatruje się swojej dyskryminacji. Czy nie mógł być np. poczytany za akt dyskryminacji fakt biurokratycznych niedociągnięć w roku 1951/52, kiedy to — już po otwarciu szkół niemieckich — „nie było podstaw finansowych" na opłacenie prelegentów uczących nauczycieli niemieckich języka polskiego i kiedy to sami słuchacze tych prelegentów opłacali?

To samo wreszcie trzeba by powiedzieć o sprawach programowych i podręcznikach. Jasną jest rzeczą, że np. wydanie podręczników dla niewielkich grup mniejszościowych nie jest sprawą prostą, a równocześnie jest dość kosztowne. Nie znaczy to jednak, że nie należy jej rozwiązać do końca, tak, by dzieci i młodzież miały się z czego uczyć, by miały z czego czerpać treści do wychowywania się w atmosferze internacjonalizmu i przywiązania do państwa polskiego.

Ale sprawą najważniejszą są kadry. Mamy trudności kadrowe zarówno w zakresie sił nauczycielskich, jak i obsady nadzoru pedagogicznego. Kadry te w zasadzie szkolimy, tak np. istnieją licea pedagogiczne przygotowujące nauczycieli do szkół białoruskich, niemieckich, słowackich i ukraińskich. Chodzi jednak o to, by w zakładach tych panowała atmosfera gwarantująca przygotowanie kadr do pracy w szkołach bez nacjonalistycznych obciążeń.

Wydaje się również, że wielkim naszym błędem jest i to, że nauczyciele polscy nie są poinformowani o roli i zadaniach szkolnictwa z niepolskim językiem nauczania, że nie orientują się w polityce Ministerstwa Oświaty w tym zakresie, i traktują niekiedy to szkolnictwo — zwłaszcza niektóre jego odcinki — jako organizm sezonowy, jako sprawę, „która nas nie tyczy". To również jest powodem, że stosunki nauczycieli polskich i nauczycieli niektórych szkół z niepolskim językiem nauczania dalekie są jeszcze od atmosfery internacjonalizmu.

A internacjonalizm jest przecie kamieniem węgielnym naszej socjalistycznej ideologii, polityki narodowościowej i wychowania młodego pokolenia.

JAN SZUREK

Czekamy na działalność komisji rehabilitacyjnych

KIEDY w „Głosie" ukazał się, wraz z uchwałą CRZZ o zniesieniu tajnych opinii, artykuł „Czy opinia o nauczycielu jest niezmienna", a w parę miesięcy później drugi artykuł „W celu naprawienia krzywd" wydawało się, że coś się zmieni na lepsze, że w szkolnictwie nastąpi szybka rewizja krzywdzących decyzji przez powołane do tego celu komisje rehabilitacyjne, że nauczyciel otrzyma pełną satysfakcję.

Były to jednak złudzenia.

Jako członkowie Zarządu Koła Absolwentów Instytutu Ped. ZZNP mamy częste kontakty z kolegami w terenie, mamy też wiadomości z różnych stron, że brak dotychczas działalności komisji rehabilitacyjnych. Jedna sprawa rehabilitacyjna, jaka się odbyła w Gdańsku, to trochę za mało.

Komisje widocznie czekają, aż zaczną napływać w drodze „urzędowej" podania nauczycieli. Tymczasem nauczyciele nie chcą się sami zgłaszać, bo nie wierzą w skuteczność działania tak dobranych komisji, po staremu obawiają się poruszać te sprawy, a wreszcie, tak zobojętnieli, że machnęli ręką na rehabilitację, chcą — jak powiadają — mieć spokój.

Jeden z kolegów w pow. bytomskim opowiadał nam: — W ciągu 6 lat mej pracy byłem przenoszony kilkakrotnie, nigdy nie wiedziałem o powodach tej decyzji, nie wiedzieli tego również inni przenoszeni koledzy. Do komisji się nie zwrócę.

Inna koleżanka: — Nie chciałam na polecenie przewodniczącego PRN zgodzić się na wydanie dobrej opinii nie zasługującej na to uczennicy i za to zostałam pozbawiona kierownictwa szkoły. A dokonano tego w okresie, kiedy byłam na macierzyńskim urlopie. Sądzę, że komisja powinna się do mnie zwrócić sama.

Kolega Z.: — Ludzie odeszli z jednych placówek (podaje nazwiska i miejscowości), pracują na drugich i władze są z nich zadowolone. Ale spotkała ich krzywda. Czy mają jeszcze zwracać się do komisji rehabilitacyjnej? Lepiej niech się komisja do nich zwróci. Ogół nauczycieli przyjmie to z uznaniem.

Koleżanka z powiatu grudziądzkiego: — Obecność przedstawiciela ZZNP uważam za konieczną, ale na obecnym etapie niewystarczającą, bo wiemy, że nasi „przedstawiciele" zostali wybrani na polecenie innych czynników — my nie znamy ich, oni nie znają nas. Piszę o tym z własnego doświadczenia, bo kiedy zwracałam się o obronę do instancji związkowych, oświadczono mi krótko: „Wiemy, że dzieje się wam krzywda, ale tak zadecydowały inne czynniki i trudno się przeciwstawić".

Czy tacy ludzie mogą teraz w komisji rehabilitacyjnej występować jako obrońcy pokrzywdzonych nauczycieli?

Czekamy na sprawiedliwe komisje rehabilitacyjne. Czekamy na jak najszybsze ich zorganizowanie i rozpoczęcie działalności. Powinny one podać terminy składania podań, odszukać pokrzywdzonych w terenie, przetrząsnąć akta personalne w wydziałach oświaty. Inaczej sprawa nie przyjmie właściwego obrotu.

Nauczycielstwo uważa, że sama organizacja komisji rehabilitacyjnych budzi poważne zastrzeżenia i obawy. W skład komisji powinni wchodzić dwaj przedstawiciele pokrzywdzonego z pełnym prawem głosu przy wydawaniu orzeczeń. W żadnym wypadku członkami komisji nie powinni być ci przedstawiciele władz szkolnych i związkowych, którzy brali jakiś udział w krzywdzie wyrządzonej nauczycielowi, ani tacy, których można by podejrzewać o stronniczość. Nie powinni ci ludzie mieć nadzoru nad aktami sprawy i mogą być tylko, bez względu na zajmowane stanowisko, jedną ze stron.

Utworzenie jednej komisji na terenie województwa nie zaspokoi istniejących potrzeb i może tak się zdarzyć, że na załatwienie sprawy trzeba będzie w kolejności czekać długie miesiące, a kto wie, czy nie parę lat. Dlatego też powinno jednocześnie działać kilka komisji w celu szybkiego zlikwidowania atmosfery nieufności. Sądzimy, że wiele spraw będzie skomplikowanych, wymagających dłuższej procedury, ale na pewno będą i takie sprawy, które nie nasuną wątpliwości i jeśli pokrzywdzony wyraźnie opowie się za taką czy inną formą rehabilitacji a komisja uzna to za słuszne — to rozprawy nie będzie potrzeba przeprowadzać.

Proponujemy, by komisje rozpoczęły działalność rehabilitacyjną nie czekając na zgłaszanie się nauczycieli.

A. Sander
W. Polkowski
L. Skórczyński

Zasłużeni nauczyciele-emeryci Okręgu Stołecznego ZZNP na uroczystości wręczania nagród z okazji 50-lecia Związku.

Foto Cz. Górski

Dalszy rozwój czy cofanie się oświaty

TRWAJĄCE kilka dni obrady Sejmowej Komisji Oświaty, Nauki i Kultury poświęcone były omówieniu wytycznych planu 5-letniego w dziedzinie oświaty, nauki i kultury. W dniu 12.X. przedmiotem obrad była sprawa szkolnictwa ogólnokształcącego i zawodowego, którą referował minister Oświaty, tow. Feliks Baranowski. W referacie ukazane zostały trudne problemy, na jakie napotka szkolnictwo w latach 1956—1960. Poważne trudności wystąpią m. in. w realizacji zadań planu w dziedzinie zabezpieczenia odpowiedniej ilości izb szkolnych w szkołach podstawowych, pomimo przewidywanego wzrostu około 17.800 izb lekcyjnych. Ilustracją tego są choćby następujące liczby: w 1955 r. na jedną izbę szkolną przypadało 36,8 uczniów — w 1960 r. liczba ta wzrośnie do 42,7, w niektórych większych miastach nawet do 60 uczniów.

W latach 1956—1960 przewidywany jest wzrost liczby uczniów w szkołach podstawowych o ponad 1 milion 300 tysięcy.

Materialne zabezpieczenie planu 5-letniego, aczkolwiek wyraża się w poważnych sumach (przeszło 5.500 milionów na budownictwo szkolne), nie rozwiązuje jednak potrzeb we wszystkich dziedzinach szkolnictwa.

W obszernej i gorącej dyskusji posłowie przeprowadzili ostrą krytykę sytuacji w szkolnictwie i przedłożonego planu. Padły nawet określenia, że przedstawione projekty są nie projektami rozwoju, a cofania się oświaty.

Krytycznie oceniony został dotychczasowy system kształcenia nauczycieli szkół podstawowych. Wskazywano m. in. na niski poziom absolwentów szkół podstawowych, średnich ogólnokształcących i zawodowych, obniżenie się pozycji społecznej i autorytetu nauczycieli, przeładowane i źle zbudowane programy szkolne. We wszystkich przemówieniach podkreślano fakt niedoceniania potrzeb oświaty, czego dowodem było ograniczanie środków finansowych zarówno w poprzednim okresie, jak i w planie 5-letnim.

Poddano również ostrej krytyce ustrój i organizację szkolnictwa.

W wyniku całodziennych obrad komisja uchwaliła szereg wniosków i dezyderatów. Między innymi należy:

— ponownie przeanalizować projektowane wydatki na budownictwo administracyjne i reprezentacyjne, aby uzyskać większe możliwości i środki na budownictwo szkolne; przesunąć nakłady inwestycyjne na budownictwo szkół w taki sposób, aby były one równomiernie rozłożone w poszczególnych latach 5-latki;

— zabezpieczyć dla Ministerstwa Oświaty kredyty inwestycyjne w tych resortach, które przekazują szkoły zawodowe Ministerstwu Oświaty na dalszą ich rozbudowę;

— przedłużyć czas trwania nauki w szkołach ogólnokształcących do lat 12;

— przedłużyć czas trwania nauki w technikach przemysłowych i ekonomicznych do 5 lat, a w zasadniczych szkołach zawodowych do 3 lat;

— rozwijać 1—2-letnie szkoły zawodowe dla absolwentów szkół średnich ogólnokształcących;

— zwrócić się do Prezesa Rady Ministrów o zajęcie się sprawą zatrudnienia absolwentów szkół;

— domagać się od Ministerstwa Oświaty dokonania odpowiednich obliczeń i przedstawienia Komisji materiałów dotyczących kosztów wprowadzenia obowiązku szkolnego w zakresie 8-letniej szkoły podstawowej.

Niezależnie od tego zgłoszono szereg wniosków dotyczących powiększenia kwot na wydatki inwestycyjne w różnych województwach.

W toku obrad Komisji przedstawiciel Sekcji Szkolnictwa Zawodowego ZZNP przedłożył memoriał w sprawie poprawy ustroju i organizacji szkolnictwa zawodowego i konieczności dalszej jego rozbudowy.

S.

Rozwijajmy działalność pedagogiczną ZZNP

DUŻO napisano na temat martwoty, jaka od szeregu lat ogarnęła nasze związki zawodowe. Nikt nie ukrywa, że stały się one swoistymi urzędami — tylko gorzej zorganizowanymi i gorzej „funkcjonującymi" od innych urzędów. W miarę jak rosła „u góry" w ruchu zawodowym ilość etatów, stanowisk, funkcji, instruktorów — zanikało „w dołach" zainteresowanie życiem związkowym i szerzył się brak wiary w to, że związki zawodowe są potrzebne. Aparat CRZZ może służyć jako przykład najszybszego i najpełniejszego procesu zurzędniczenia i wyjałowienia ze społecznych form pracy.

I nasz Związek ogarnięty został tym „twórczym" procesem. W miejsce działaczy związkowych zjawili się w nadmiernej ilości instruktorzy często zaczynający pracę „instruktorską" w aparacie związkowym od zapisania się do Związku. Byli i tacy znawcy życia nauczycielskiego i szkolnego, którzy je poznali będąc jeszcze przed paru miesiącami... uczniami w szkole. Nie znaczy to, że wśród naszego etatowego aparatu związkowego nie było i nie ma wartościowych pracowników. Byli i są. Ale i oni nie zachwycają się tą sytuacją. Te smutne lata wulgaryzacji, wypaczeń, kultu niekompetencji dały pożałowania godne wyniki. Jeżeli do tego dodać próby szerzenia wśród nauczycielstwa niesłusznej i krzywdzącej opinii o przeszłości ZNP, to będziemy mieli obraz przyczyn zamierania żywotności tak prężnego w przeszłości naszego Związku. Zalecano Związkowi: nie trudźcie się zbytnio myśleniem na tematy polityki oświatowej, pomagajcie administracji szkolnej, mobilizujcie, szkolcie się ideologicznie... ale tylko z określonych katechizmów, nie skomplikowanych problematyką pedagogiczną. Polikwidowano więc szybko i konsekwentnie wszystko, co mogłoby sprowadzić organizację nauczycielską „na manowce" zajmowania się polityką oświatową i wychowawczą. Wszystko miało być z góry ujęte w recepty, które wiernie, dokładnie trzeba wykonać. I tak wszystko miało być dobrze.

Okazało się jednak, że nie jest dobrze, bo np. stanie ZZNP na uboczu, jeżeli chodzi o politykę oświatową doprowadziło do samouspokojenia administracji szkolnej. Nikt jej spokoju nie zakłócał. A sytuacja w szkolnictwie nie jest pocieszająca. Aparat związkowy pozbawiony przez szereg lat społecznego aktywu pedagogicznego niewiele ma do powiedzenia w sprawach pedagogicznych. Podjęte ostatnio próby odbudowania tego aktywu są jeszcze zbyt skromne i nieśmiałe, aby dały rezultaty. Tu trzeba zasadniczej zmiany w dotychczasowym stylu pracy Związku, w formach i metodach stosowanych od góry aż do dołów w naszej organizacji zawodowej.

Ubranie przez CRZZ wszystkich związków, a w tym i naszego w taki sam uniform organizacyjny ułatwiło wyjałowienie nas z tych treści, bez których nie możemy wykonać zadań związku wychowawców, związku, który musi mieć obok innych i cechy związku twórczego. Naszą działalność pedagogiczną należy rozumieć szeroko, a więc chodzi tu o rozwijanie wśród szerokich rzesz nauczycielstwa zainteresowań i pobudzanie do twórczości pedagogicznej, rozwijanie czytelnictwa i różnych form samokształcenia, podnoszenie poziomu własnego życia kulturalnego.

Im głębsze będą zainteresowania problematyką pedagogiczną swojej szkoły, tym żywiej muszą wystąpić w świadomości nauczycielstwa powiązania z całokształtem systemu wychowania młodego pokolenia. Jak osiągnąć wzrost tych zainteresowań?

SIĘGNIJMY DO DOBRYCH TRADYCJI

Znana jest starszym kolekom rozległa działalność pedagogiczna i wydawnicza naszego Związku przed wojną. Działały nie tylko wydziały pedagogiczne od powiatu poczynając i szeroko rozbudowany w Zarządzie Głównym wydział wydawniczy, ale działały także sekcje zawodowe, które były przedłużeniem i rozszerzeniem działalności pedagogicznej naszego Związku. Szczególnie w ostatnich latach przed wojną, kiedy nasz Związek objął swoją działalnością wszystkie typy szkół, działały takie sekcje jak: wychowawczyń przedszkoli, szkolnictwa średniego ogólnokształcącego, szkolnictwa zawodowego, szkolnictwa rolniczego, szkolnictwa specjalnego, zakładów kształcenia nauczycieli, szkolnictwa wyższego. Dzięki temu Związek mógł zawsze w sposób kompetentny wypowiadać się we wszystkich sprawach dotyczących całego szkolnictwa i oświaty. I głos naszego Związku był uważnie słuchany i przez przyjaciół, i przez wrogów.

W naszym Związku przed wojną postępowi pedagogowie i uczeni rozwijali żywą działalność. Wystarczy przytoczyć takie nazwiska jak: Czarnowski, Baley, Grzegorzewska, Chałasiński, Kotarbiński, A. B. Dobrowolski i inni. Szukali oni kontaktu z masami nauczycielskimi. Potrzebowali go nie tylko dlatego, aby zyskiwać zwolenników i aby oprzeć o masy nauczycielskie swą postępową działalność. Dziś cały aparat państwowy służy postępowi. Ale i dzisiaj trzeba nieustannego kontaktu teorii z praktyką we wszystkich dziedzinach, a może najbardziej w dziedzinie oświaty i wychowania.

Wśród wielu błędów, które popełniliśmy w ostatnim okresie, niemałą rolę w zakresie wyjaławiania naszego życia związkowego odegrało prawie całkowite zlikwidowanie tych sekcji, których odbudowa jest teraz pilna. Oczywiście nie chodzi tu o mechaniczne przeniesienie tych i innych form i środków działalności związkowej sprzed wojny. Powinno się to wyrazić w tym, aby Związek mógł być rzeczywistym współtwórcą koncepcji we wszystkich dziedzinach oświaty i wychowania oraz aby wraz z innymi organizacjami społecznymi mógł wykonywać faktycznie, a nie tylko w teorii społeczną kontrolę pracy całego aparatu administracji oświatowej. Dokonać tego można tylko przy czynnym udziale samego ZZNP.

W miarę jak będzie poprawiać się trudna dotychczas sytuacja materialna nauczycielstwa, która niewątpliwie była również jedną z przyczyn hamujących wzrost głębszych zainteresowań pedagogicznych pracowników szkolnictwa, będzie rósł zapał i inicjatywa pedagogiczna w kolektywach szkolnych. Mają więc szerokie pole do działania sekcje zawodowe, które skupić powinny najczynniejszych pracowników z poszczególnych działów naszego szkolnictwa, aby podjąć i ożywić związkową działalność pedagogiczną.

O potrzebie tego rodzaju działalności związkowej świadczyć mogą choćby odbyte niedawno pierwsze zebrania, które są początkiem wznowienia działalności sekcji szkół zawodowych, sekcji szkolnictwa specjalnego, domaganie się powołania do życia sekcji przez zebrania wychowawczyń przedszkoli itp. Nie zachodzi oczywiście potrzeba kopiowania żywcem sekcji zawodowych sprzed wojny. Dzisiaj kiedy mamy jednolitą nauczycielską organizację zawodową, sekcje nie muszą rozwijać odrębnej działalności organizacyjnej czy socjalno-bytowej, bo te prace powinny być wykonywane przez wspólne dla nauczycieli wszystkich typów szkół ogniwa organizacyjne. Sekcje powinny tylko sygnalizować potrzeby w tym zakresie. Ale nie możemy rozważać na wspólnych zebraniach bardzo często specjalnej i odrębnej specyfiki pedagogicznej, np. wychowania przedszkolnego czy szkolnictwa specjalnego, zawodowego czy też problematyki wyższych uczelni.

SEKCJE ZAWODOWE W OKRĘGACH I PRZY ZARZĄDZIE GŁÓWNYM

Czy trzeba powoływać sekcje zawodowe we wszystkich ogniwach związkowych? Wydaje mi się, że nie we wszystkich. W zasadzie powinny działać przy Zarządzie Głównym oraz w okręgach. W oddziałach powiatowych tylko sekcje zawodowe takich typów szkół, jak zawodowe czy rolnicze i to w przypadkach skupienia kilku czy kilkunastu szkół jednego działu szkolnictwa. Działalność pedagogiczna oddziałów powiatowych powinna opierać się o ogniwa związkowe w poszczególnych typach szkół. Rzecz oczywista, że małe szkoły podstawowe czy inne powinny być łączone w większe ogniwa, które zapewnią niezbędną żywotność i warunki pracy związkowej.

Sekcje zawodowe działające przy okręgach i Zarządzie Głównym mogą z jednej strony skupiać nauczycieli najczynniejszych i najlepiej znających problematykę danego działu szkolnictwa i ożywiać na tych szczeblach związkową działalność pedagogiczną, a z drugiej strony sekcje będą ułatwiały „uterenowienie" działalności szkolno-pedagogicznej w najniższych ogniwach związkowych różnych typów szkół i instytucji oświatowych.

Oczywiście nie można uważać powołania do życia sekcji zawodowych za jedynie i wyłącznie zbawienny środek, przy pomocy którego osiągniemy pożądane rezultaty w ożywieniu życia związkowego. To tylko jeden ze środków, choć wydaje się niemało ważny, aby nauczyciele różnych typów szkół poczuli się bardziej członkami naszego Związku, który jednocząc cały zawód nauczycielski pozwala równocześnie wszystkim jego członkom realizować swoje cele zawodowe i szkolno-pedagogiczne.

Sekcje zawodowe mogą stać się jedną z form umożliwiających rozwijanie głębszych treści w tej działalności pedagogicznej Związku na wszystkich szczeblach szkolnictwa i oświaty. Przyczynić się mogą również do tego, aby dookoła naszej organizacji związkowej zgromadzić liczne szeregi czynnych działaczy związkowych, którzy jedynie, wsparci aktywnością całego nauczycielstwa związkowego, zadecydować mogą o odrodzeniu zagubionej w minionych latach roli ZZNP.

ST. KWIATKOWSKI

Na marginesie sprawy kcyńskiej i w ogóle na ten temat

Oto część prawdy o zakładach poprawczych w Kcyni i Koronowie, jaką udało się uchwycić naszemu fotoreporterowi. Zdjęcia te same przez się mówią o warunkach, w jakich żyją małoletni przestępcy.

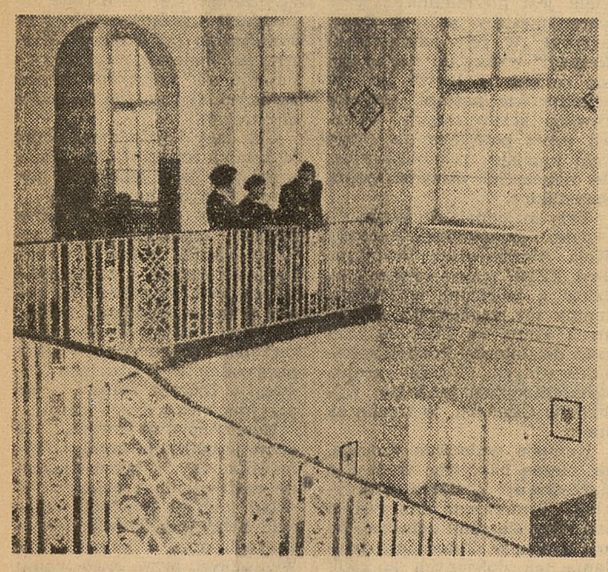

Klatka schodowa w Koronowie nie robi chyba przykrego wrażenia.

Zaciszna i elegancka jest również koronowska czytelnia.

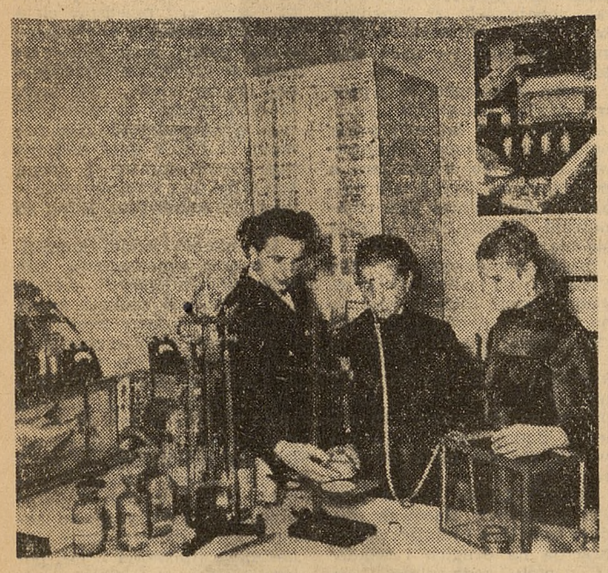

Niejedna szkoła pozazdrościłaby takiego wyposażenia.

Trudno narzekać na warunki pracy w tym warsztacie krawieckim w Kcyni

PAPIEROWY TYGRYS

SPRAWA Kcyni opisana w „Po prostu" i w „Dookoła Świata" nabrała rozgłosu. Wśród społeczeństwa przeszedł (w połowie września) dreszcz zgrozy: w K c y n i b i j ą. Zareagowali również na tę wiadomość nauczyciele i wychowawcy. Do naszej redakcji zaczęły napływać listy oraz zaczęli zgłaszać się koledzy, aby osobiście dać wyraz swoim poglądom. Niektórzy protestowali przeciwko jednostronnemu ujmowaniu sprawy przez redaktorów wymienionych tygodników, inni domagali się o wiele bardziej pełnego przedstawienia prawdy o życiu zakładów poprawczych i wychowaniu młodzieży przestępczej — powołując się na swoje własne doświadczenia.

W dniu, w którym odwiedził redakcję b. wychowawca schroniska dla nieletnich w Warszawie, E. Kobyliński, w „Życiu Warszawy" ukazała się notatka takiej mniej więcej treści. Dokonane zostało ponure morderstwo... znaleziono zwłoki zmasakrowane... podejrzanym o mord jest 16-letni Ryszard Sikora... ze względu na wiek, prokuratura przekazała sprawę do sądu dla nieletnich.

Bardzo charakterystyczna była reakcja kol. Kobylińskiego na tę wiadomość. (Okazało się, że Sikora to stały klient warszawskiego schroniska dla nieletnich): — „A więc Sikora już zamordował człowieka?! I znowu pójdzie do zakładu poprawczego. Przecież on już był w zakładach poprawczych!" W tej na pozór obojętnej uwadze wychowawcy zabrzmiała przejmująca nuta bezsilności.

TROCHĘ ATMOSFERY

Przez schronisko dla nieletnich, w którym kol. Kobyliński pracował około 5 lat, przewinęła się spora liczba małoletnich przestępców: tych, ktorzy rozbijają kioski, tych, którzy proponują na ulicy: „zdejm pan jesionkę, ja teraz trochę w niej pochodzę", tych, którzy stanowią postrach ciemnych ulic. Nie chodzi tu o malowanie wizerunku małoletniego przestępcy, bo znamy go z krótkich, ale jakże częstych wzmianek w prasie oraz z codziennego doświadczenia, chodzi nam raczej o wizerunek i rolę wychowawcy, który w takim schronisku pracuje.

Chłopcy oczekują rozprawy w sądzie. W tym czasie — tzn. w ciągu kilku miesięcy — należy ich czymś zająć, a więc trochę nauki, trochę zajęć świetlicowych, śpiew, czytanie książek, słuchanie audycji radiowych, gra w szachy itd. Jeżeli komuś wydaje się groteskowy ten zestaw zajęć w porównaniu z niedawną, bardzo bujną przeszłością i „zainteresowaniami" każdego z tych chłopców, równie groteskowa musi się wydać rola samego wychowawcy, który ma ujarzmić oddaną mu pod opiekę gromadę swoją postawą, pracowitością, schludnością, punktualnością, taktem pedagogicznym i nieograniczoną ilością słów. To wszystko ma do dyspozycji. Wywiązania się z obowiązków oczekują od niego władze zwierzchnie.

Smutne doświadczenie uczy, że wychowawca w schronisku przede wszystkim musi być silny (słabi mogą być tylko ludzie utalentowani). Atmosfera bójki i przemocy fizycznej, w której chłopcy wyrośli i z którą się zżyli, nie ustaje w schronisku ani na chwilę. Rozdzielanie chłopców wodzących się za łby, obrona młodszych chłopców terroryzowanych i wykorzystywanych drogą najbrutalniejszej przemocy przez starszych-prowodyrów — należy, niestety, do powszednich „obowiązków wychowawczych".

Dla tych, którzy w schronisku pracują, słaby mężczyzna jest bardzo złym kandydatem na wychowawce. Ale nawet silny wychowawca nie może sobie w schronisku pozwalać na zbyt wielką pewność siebie. Użycie pod adresem wychowanka zwrotu: „musisz to zrobić", jest bardzo ryzykowne. Praca z małoletnimi przestępcami w schronisku jest właściwie nieustannym lawirowaniem i niekończącą się dyplomacją, ażeby samemu nie dostać po głowie (w znaczeniu dosłownym) i żeby jako tako z honorem wycofać się z porażek. Małoletni przestępcy bardzo często okazują się jednak dobrymi chłopcami i nie biją swoich wychowawców, chociaż doskonale wiedzą, że stoi przed nimi bezbronny człowiek.

W schronisku warszawskim (zlikwidowane zostało dopiero w 1956 r.) szerzyły się nagminnie ucieczki. Zadaniem wychowawców było nie dopuszczać do tego. Dopóki ucieczka była w stadium konspiracyjnym — chociaż i wtedy chłopcy nie kryli się zbytnio — można im było ją utrudniać: spleszyć ze stolarni przy wybieraniu narzędzi do wyważania okien, spędzić ze strychu podczas podnoszenia dachu (barak!). Ale po trzech dniach chłopców zaczynała nudzić taka ciuciubabka i przechodzili w fazę otwartej walki. W nocy wstaje cała grupa, biorą z łóżek żelazne pręty i tak uzbrojeni idą na wychowawcę — jedynego człowieka, który w tym czasie dozoruje. Ma im wydać ubrania i klucze.

Trzeba mieć trochę szczęścia, aby w takiej sytuacji któryś z chłopców krzyknął: „nie bijcie, wychowawca nic nie winien". Trzeba również uważać to za szczęśliwy obrót sprawy, gdy chłopcy zrezygnują ze zdobycia kluczy i łaskawie zajmą się samodzielnie wybijaniem krat. W tym czasie ktoś drugi — np. intendentka zbudzona krzykiem, jeżeli jest bardzo dzielna, może zatelefonować na milicję z jakiegoś jeszcze nie uszkodzonego aparatu. To są niestety fakty z życia wychowawców, zbyt przykre, aby je jeszcze szczegółowiej opisywać, ale wystarczające, aby odmalować ten układ sił, jaki panuje w schroniskach dla nieletnich.

NADCHODZI ODSIECZ

Wychowawca w schronisku nie jest jednak zupełnie samotny. W każdej chwili może wezwać milicję. Oczywiście nie może dzwonić: przyjeżdżajcie, bo chłopcy chcą uciec (jeszcze nie uciekli), nie może dzwonić: przyjeżdżajcie, bo chcą mnie pobić (jeszcze nie pobili). Przed faktem wychowawca ma sobie radzić środkami pedagogicznymi. Ale owszem może alarmować, gdy chłopcy już uciekają i trzeba ich łapać.

To bardzo budujący obraz, gdy milicja walczy z małoletnimi przestępcami. W tymże samym schronisku wybuchł kiedyś bunt — którego pretekstem był zakaz palenia papierosów — „zabawa" milicji z chłopcami trwała 5 godzin. Od 8 rano do 13 toczyły się pertraktacje z bandą uzbrojoną w pręty żelazne, narzędzia ze stolarni, nogi od krzeseł, sprzęt kuchenny. Milicjant w obliczu małoletniego przestępcy jest takim samym bezbronnym i nic nie znaczącym mężczyzną, jak każdy wychowawca. Milicjantowi nie wolno małoletniego przestępcy skuć, ale za jego ucieczkę odpowiada tak samo, jak za ucieczkę dorosłego. Ta pełna wiedza o prawach i obowiązkach milicjanta otwiera małoletnim nieograniczone możliwości w wyżywaniu się słownym i czynnym. Jeżeli ktoś chce zobaczyć groteskę, niech obejrzy, w jaki sposób milicja doprowadza, a często donosi małoletnich przestępców do zakładów poprawczych. Milicjanci są skopani, pogryzieni i opluci.

PRZYCHODZI DZIEŃ SĄDU

Ale i w życiu małoletniego przestępcy przychodzi taki dzień, kiedy musi stanąć przed sądem i odpowiadać za swoje czyny. Dzień w pewnym sensie rzeczywiście ważny. Istnieje dziwna praktyka podyktowana zdaje się nie przez teorię pedagogiczną, że w schroniskach przebywają chłopcy przed rozprawą i po rozprawie — po wyroku — jeszcze przez kilka miesięcy, oczekując swego miejsca w zakładzie poprawczym. Ci, którzy wracają z sądu, oczekiwani są przez kolegów z prawdziwą niecierpliwością. Wytworzył się taki zwyczaj, że powracający muszą złożyć jak najbardziej szczegółowe sprawozdanie z przebiegu rozprawy. Następnie odbywa się analiza postępowania sędziego i oskarżonych. Chłopcy, którzy sprytnie się zachowali i odpowiadali przytomnie, są bohaterami, ci, którzy nie wykazali odpowiedniej orientacji, zasługują na szyderstwo.

W momencie, gdy następna grupa idzie na rozprawę, „mecenasi" udzielają im wszelkich porad — co mówić i jak mówić. Taki chłopak potrafi odegrać przed sądem, w zależności od potrzeb, skruszonego, złamanego, zidiociałego, moralnie odrodzonego itd. Tak, przed sądem jak na wielkiej scenie można od czasu do czasu wystąpić.

PREMIA ZA PRZESTĘPSTWO

Największą karą, jaką może otrzymać małoletni przestępca za kradzież, napad z bronią, morderstwo, jest zakład poprawczy. Co się dzieje z chłopcem w zakładzie poprawczym? Dostaje komplet książek i idzie do szkoły (do takiej klasy w zakresie szkoły podstawowej, do jakiej kwalifikują go jego wiadomości). Poza tym idzie do warsztatu (ślusarskiego, stolarskiego czy innego w zależności od wyposażenia zakładu) na naukę przygotowującą go do zawodu. Za pracę, którą wykonuje w warsztacie (ucząc się), otrzymuje wynagrodzenie. Chłopiec, który należycie pracuje w ciągu roku, opuszcza zakład mając na książeczce PKO 1 000—1 500 zł, które może użyć na swoje potrzeby. (Na bieżące potrzeby, papierosy wypłaca mu się część zarobku).

W czasie wolnym od nauki i pracy korzysta z rozrywek: wypożycza książki w bibliotece, czyta czasopisma, ma do dyspozycji gry świetlicowe, należy do chóru lub orkiestry, może należeć do zespołów artystycznych lub sportowych. Na zewnątrz możliwe są krótkie wycieczki lub dłużej trwające obozy, uczęszczanie do kina lub teatru, uczestnictwo w eliminacjach artystycznych lub spotkania sportowe międzyzakładowe.

Można obejrzeć w każdej chwili, jak wyglądają osławione przez „Po prostu" i „Dookoła Świata" dwa zakłady poprawcze: dla chłopców w Kcyni i dla dziewcząt w Koronowie. Warto, aby pojechali tam kiedyś dyrektorzy szkół i kierownicy internatów i porównali, jakie warunki życia (sypialnie, jadalnie, świetlice) mają tam małoletni przestępcy, a jakie warunki ma ich młodzież ucząca się normalnie (nie zobaczą tam piętrowych łóżek, brudnej pościeli i innych braków, które cierpi młodzież w internatach). Warto by także porównać miskę zupy w zakładzie poprawczym w Kcyni, w internacie szkolnym i w domu akademickim; można również w stołówce PGR. Trzeba przecież porównać warunki życia młodzieży przestępczej z warunkami życia młodzieży w ogóle, a nie oceniać smak zupy w Kcyni według jednego redaktorskiego podniebienia.

Jeżeli już mowa o warunkach życia, nie wolno pominąć głosu matki-robotnicy, która w tejże samej Kcyni na otwartym zebraniu w obecności posła powiedziała: „Chłopcy z zakładu rzucają na ziemię chleb ze smalcem, a ja moim czworgu dzieciom, na które sama pracuję i zarabiam 500 zł, nie jestem w stanie chleba smarować".

W ostatnim numerze „Nowej Kultury" z dnia 14.X. br. w artykule „Jak wygląda ochrona zdrowia" dr Bolesław Jurczewski pisze: „Jakżeż można skutecznie leczyć ludzi, którzy pracują cały dzień o kawałku chleba i gorzkiej czarnej kawie, kiedy oni i lekarstwa kupić sobie nie mogą".

Te dygresje mają na celu tylko pokazanie, że chleb z margaryną i czarna kawa nie są wśród ludzi pracy w naszym społeczeństwie rzadkością.

WYCHOWUJEMY

W tygodniku „Po prostu" w artykule traktującym o zakładach poprawczych jest takie ciekawe zdanie, zaczerpnięte z danych Komendy Głównej Milicji: „Ponad 40% młodzieży zwolnionej z zakładów poprawczych popada w recydywę. Recydywa przybrała rozmiary niepokojące". I to jest właśnie temat, na który warto podyskutować. Można się godzić, że wychowanie tej młodzieży musi być kosztowne, ale nie można się chyba zgodzić na to, aby zakłady poprawcze były czymś w rodzaju przechodniej bramy: młodzież przychodzi, wychodzi, wraca i tak w koło.

Jest w tej chwili w Kcyni chłopiec lat 17, który może być żywą reklamą naszego „systemu wychowawczego". Dziesięć lat spędził już w różnego rodzaju zakładach. Mając 7 lat został oddany do domu dziecka, potem dostał się do zakładów wychowawczych, których zwiedził kilka, obecnie wędruje między zakładami poprawczymi. W skali przestępstw ma już za sobą napad rabunkowy z bronią w ręku na kasjera wychodzącego z banku i zrabowanie 200 000 zł. Przez 10 lat nieustannie w y c h o w u j e s i ę go.

Niestety, trzeba powiedzieć, że sytuacja w naszych zakładach poprawczych a również i wychowawczych żywo przypomina szpitale, do których przyjmowalibyśmy chorych, kładlibyśmy ich do łóżek, przestrzegali regulaminu dnia, tylko nie badalibyśmy ich i nie leczyli. Samo leżenie też czasem pomaga, ale epidemie gotowe. Epidemie wśród małoletnich przestępców też się szerzą. Chłopak, który trafił do zakładu poprawczego i jeszcze nie wszystko „umie", wychodzi z zakładu w zupełności dokształcony i następnym razem wraca z przestępstwem cięższego kalibru. (Oczywiście, mówimy o sytuacji w ogóle i wcale nie przeczymy, że są poszczególne zakłady, które dobrze pracują, i że są dobrzy wychowawcy).

Gdyby ktoś chciał wreszcie wyjaśnić: jaka jest różnica w systemie wychowawczym między domem dziecka, domem wychowawczym i zakładem poprawczym? Warunki życia te same, rodzaj zajęć ten sam, te same nagrody, te same kary (upomnienia i nagany we wszelkiego rodzaju odmianach, pozbawianie przyjemności). Wszędzie te same środki wychowawcze do dyspozycji — nauka, szachy w świetlicy i dobre słowo wychowawcy. Zmienia się zupełnie skala wykroczeń (w domu dziecka chłopiec nie uczy się i odpowiada niegrzecznie wychowawcy, w zakładzie poprawczym ma w kartotece rabunek, nie chce pracować i rzuca się z nożem na wychowawcę), rośnie siła fizyczna wychowanków, umacnia się coraz bardziej zuchwałość w ich postawie, ale środki wychowawcze wciąż te same — niemal od przedszkola do zakładu poprawczego niezmienne.

Owszem, jest coś specyficznego dla zakładów poprawczych — izolatka — mała cela z okratowanym oknem. To jest ostatnie słowo techniki pedagogicznej w stosunku do nieletniego, który rozwali koledze lub wychowawcy głowę.

(Dokończenie na str. 3)

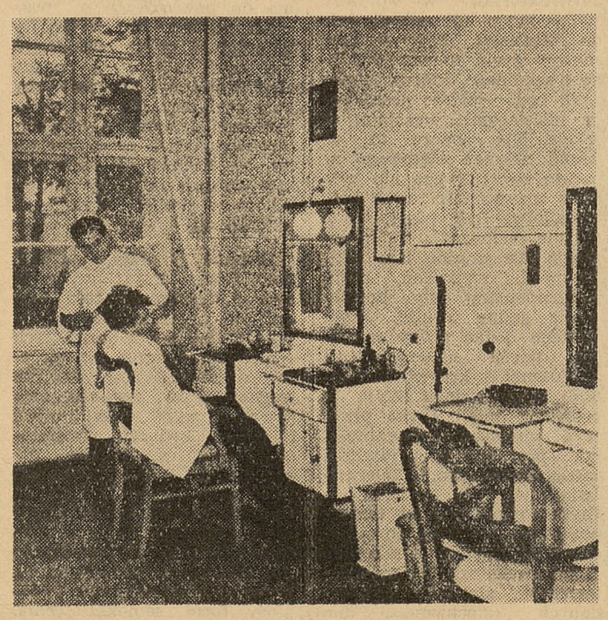

Proszę porównać ten zakład fryzjerski w zakładzie poprawczym w Kcyni z przeciętnym, nawet stołecznym...

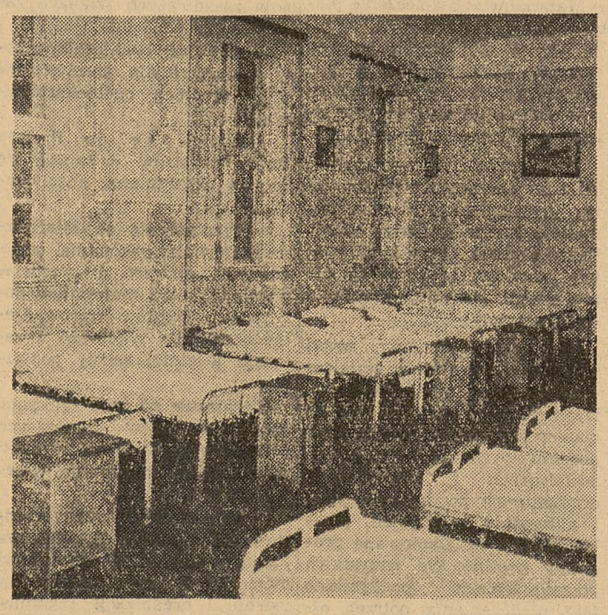

...i tę sypialnię chłopców — z piętrowymi łóżkami w niejednym internacie szkolnym lub w domu akademickim

Zdjęcia Cz. Górski

To nie prawda że zawsze jest winien nauczyciel

SPRAWA zakładu poprawczego w Kcyni ze zrozumiałych względów skupiła na sobie szczególną uwagę pedagogów. Wśród nauczycieli-wychowawców stała się tematem rozmów, wywołała sporo przykrych refleksji, pobudziła do niejednego wniosku zawierającego mocny ładunek krytyki i protestu.

W konkretnych warunkach mojej pracy nie ma mowy o dotarciu do pełnej dokumentacji i wszechstronnych materiałów. Wystarczą jednak informacje prasy, aby nawet przy dużej ostrożności historię kcyńskiego zakładu nazwać ponurą.

Czterej wychowawcy zakładu zdali egzamin na patentowanych funkcjonariuszy konzlagu. Ich metody wychowawcze budzą odrazę, sprzeciw i gniew. Za fizyczne i moralne maltretowanie wychowanków, choćby najbardziej zdeprawowanych, nie wystarczy usunięcie z pracy. Trzeba odstraszająco ukarać i opinia publiczna ma prawo oczekiwać dokładnej relacji o wymiarze kary. Nikt się nie zgodzi na to, aby stosowany przez sadystów system nazwać delikatnie „łamaniem praworządności". Trzeba zdecydowanie określić stopień i rodzaj winy, trzeba również wyciągnąć zdecydowane konsekwencje karne. Tego wymaga renesans naszego życia politycznego, społecznego i moralnego. Tym zajmuje się sąd.

Sprawa Kcyni jest jasna. Niejasne natomiast są niektóre jej elementy, tylko z pozoru mniej istotne i jak gdyby drugorzędne. Wywołały one słuszne oburzenie wśród wychowawców bez cudzysłowu. Chodzi o to, kto wpadł na pomysł, aby nadać tytuł „wychowawców" tego rodzaju ludziom, którzy byli (a niektórzy podobno są jeszcze) funkcjonariuszami kcyńskiego zakładu wychowawczego.

Czy można się dziwić, że oburzenie nasze wywołuje oficjalne przyznanie tytułu wychowawcy takim zdeprawowanym typom, jak niektórzy funkcjonariusze zakładu poprawczego w Kcyni. Wielu z nich znało i uznawało jedną tylko metodę „wychowawczą" — fizyczne i moralne znęcanie się.

A ich kwalifikacje zawodowe? Jeden z „wychowawców" jest z zawodu czeladnikiem rzeźnickim i trafił do zakładu po paromiesięcznym areszcie za kradzież w sklepie mięsnym, inny był niewykwalifikowanym pracownikiem cegielni a do Kcyni przywiodło go poszukiwanie lżejszej pracy, jeszcze inny w rubryce określającej zawód podaje — strażnik więzienny.

MIĘDZY innymi artykułami na temat zakładu poprawczego w Kcyni ukazał się w 39 numerze tygodnika „Dookoła Świata" reportaż napisany z serdeczną pasją przez Zbigniewa Meliona. Autor wybiera jako motto artykułu słowa Makarenki: „Nie ma złej młodzieży — są tylko źli wychowawcy". Jest to jedyny, ale bardzo istotny element reportażu, z którym nie mogę się zgodzić. Ponieważ moje osobiste przekonania potwierdza opinia wielu kolegów - wychowawców, doszedłem do wniosku, że sprawa wymaga otwartego i publicznego omówienia.

Zastrzeżenia dotyczą zarówno niefortunnego doboru cytatu, jak i zawartej w nim treści.

Motto niestosowne. Przecież właśnie Zbigniew Melion stwierdza w swoim reportażu, że dorośli przestępcy, którzy mieli być wychowawcami młodych przestępców, w istocie nie mieli nic wspólnego ani z logiczną, ani z praktyczną treścią pojęcia: wychowanie. Byli to dozorcy, źli i często okrutni dozorcy, w żadnym razie — wychowawcy. Nie jest więc rzeczą słuszną, kiedy się o nich pisze, dobierać motto, które w słownej formie i w treści mówi o zawodzie lub funkcji, jakiej żywym zaprzeczeniem byli niektórzy funkcjonariusze zakładu. Nie należy wieszać Cygana, kiedy zawinił kowal. Nikt nie będzie przecież obarczał zbiorową odpowiedzialnością rzeźbiarzy-plastyków za nieudolne nagrobki prowincjonalnego kamieniarza. Trudno zaprzeczyć, że wstępny cytat reportażu w połączeniu z treścią sprawia moralną krzywdę wychowawcom. Autor nie mówi, że wszyscy wychowawcy są źli, ale czytelnik myśli: a więc zdarzają się aż tak źli wychowawcy. A przecież to wcale nie chodziło o wychowawców.

A teraz ważniejszy moment. Jak powszechnie wiadomo, „Dookoła Świata" to wyjątkowo poczytny tygodnik dla młodzieży. Dla wielu, niestety, powiedzmy szczerze, dla bardzo wielu naszych młodych wychowanków omawiany cytat z Makarenki, to przysłowiowa woda na ich klekocący moralnie młyn. Nie jest to obawa teoretyczna. Aż nadto często w rozmaitych bolesnych przypadkach naszej praktyki pedagogicznej mamy do czynienia z beztroskim, nieraz cynicznym stanowiskiem młodych winowajców, którzy dopatrują się źródeł swego wykroczenia we wszystkim i we wszystkich, tylko nie w sobie.

Przykładów aż nadto wiele. Chcę jeden przypomnieć. Jest on o tyle stosowny, że dość szeroko znany ze sprawozdań prasowych. Chodzi o młodych przestępców z Liceum Ogólnokształcącego w Otwocku. Sąd stwierdził winę i ukarał zależnie od wieku więzieniem lub zakładem poprawczym. Niektórzy ze skazanych z uporem zajmowali wygodne stanowisko — to nie ich wina, to nie oni są źli, to wina szkoły, wychowawców, rodziców, organizacji młodzieżowej, jednym słowem — wszyscy ponoszą moralną odpowiedzialność za ich przestępstwa, tylko nie oni. Oni chcieli mocnych wrażeń, a zespół ludzi odpowiedzialnych za ich wychowanie nie stworzył im warunków do przeżywania dreszczów i emocji. Gdyby to było tylko stanowisko uczniów - przestępców, rzecz zrozumiała — chcieli się wykręcić od odpowiedzialności, ale w tę samą fałszywą moralnie a wychowawczo szkodliwą strunę uderzył adwokat i jedna z matek.

Dobrze się stało, że okoliczności rozprawy wymagały stwierdzenia, jak to jest naprawdę w tym otwockim liceum, jacy to tam pracują wychowawcy. Okazało się, że są pewne braki i niedociągnięcia, w ogólnej jednak ocenie wypadło, że nie było w tej szkole złych wychowawców, że szkoła wiele zrobiła, aby młodzież mogła korzystać ze swego słusznego prawa do rozrywki. Był i sport, i zabawy taneczne, i nawet luksus, jak na nasze warunki — obozy narciarskie w Zakopanem. Były kółka zainteresowań i dobre książki w bibliotece obok dobrych czasopism w czytelni. Poza jednym wypadkiem, zresztą wyolbrzymionym przez adwokata, nie było ze strony wychowawców ordynarnego terroru ani oschłej obojętności. Przeciwnie — sporo serdecznej troski o młodzież choć rzecz zrozumiała — nie każdy z nauczycieli potrafił tę troskę ujawniać z makarenkowskim talentem pedagogicznym.

A więc nie pomoże najbardziej autorytatywny cytat. Nie było złych wychowawców, była natomiast, na szczęście nieliczna, grupa złej młodzieży.

Rzecz oczywista nie mam na myśli fatalistycznego zła, którego nic i nigdy nie zdoła naprawić. Szczerze życzę młodym ludziom z Otwocka, aby warunki, w których kara kazała im spędzić pewien okres życia, dopomogły do zdecydowanej poprawy. Jestem przekonany o możliwości spełnienia mego życzenia, oczywiście pod warunkiem, że źli chłopcy nie trafili na jeszcze gorszych wychowawców.

TYLE się ostatnio pisze o młodzieży, o wychowaniu. Zrozumiałe, chodzi o zagadnienie jedno z najważniejszych dla kraju, dla dnia dzisiejszego i dla coraz lepszego jutra. Są alarmy. Są słuszne żale. Mamy wiele trafnych sądów, ale i sporo jednostronnej przesady. Mnożą się analizy źródeł zła i recepty.

Wielka odnowa musi objąć i obejmuje powoli omyłki, błędy i wypaczenia naszego systemu wychowawczego, naszej teorii i praktyki pedagogicznej. Trzeba dużego spokoju w ocenie sytuacji a dużej pasji w walce o to, co słuszne. Trzeba również z odwagą konfrontować rzeczywistość z dogmatycznie nieraz traktowaną teorią.

Makarenko był niejednokrotnie szermierzem prawdy w jej konflikcie z licznymi tabu oficjalnej pedagogiki.

Makarenko zwalczał namiętnie fatalistyczną teorię „dwóch czynników", która była tak bardzo wygodnym elementem burżuazyjnej nadbudowy w dziedzinie psychologii i pedagogiki. Z pozycji tej słusznej walki zrodziło się powiedzenie: „nie ma złej młodzieży — są tylko źli wychowawcy", powiedzenie, którego słuszność najczęściej (z całą pewnością nie zawsze) była potwierdzana praktyką wychowawczą makarenkowskich kolonii. Zdanie to jest słuszne w określonym kontekście słów, a co ważniejsze — warunków i sytuacji. Traktowane natomiast jako dogmatyczne prawidło staje się przyczyną zbyt poważnego nieporozumienia, a przede wszystkim — przeczy doświadczeniu, wobec czego traci siłę prawdy.

Cokolwiek można by powiedzieć o błędach systemu wychowawczego i o nieudolności pedagogów, doświadczenie stwierdza, że bywają nie tylko źli wychowawcy, ale i źli wychowankowie. Źli — w konkretnych warunkach, jakie dla ogółu danej grupy młodzieżowej należy uznać za pomyślne, za prawidłowe dla rozwoju cech dodatnich.

W takiej sytuacji należy śmielej niż dotychczas nazywać zło po imieniu i stosować wychowawczą karę przeniesienia do innej klasy, szkoły, a nawet — do innej, pozaszkolnej grupy młodzieżowej. Czasem, niestety — do zakładu poprawczego. W odmiennych warunkach i przy dobrych oczywiście wychowawcach źli wychowankowie mogą i powinni znaleźć okazję do moralnej reedukacji.

Z górą ćwierć wieku praktyki pedagogicznej i serce szczerze oddane sprawie wychowania każe mi zakończyć moje uwagi wyrażeniem przekonania, iż błędne w swej treści a szkodliwe w skutkach jest wmawianie w młodzież: „jesteście dobrzy, tylko wychowawcy są źli".

JANUSZ ŁOPUSKI
Pułtusk

(Dokończenie ze str. 2)

Nasz kolega Kobyliński był zgnębiony, że Sikora zamordował człowieka i znowu pójdzie do zakładu poprawczego. Sam zdrowy rozum mówi, że chłopca, który w sposób bestialski zamordował człowieka, trzeba jakoś inaczej wychowywać niż chłopca, który ukradł gołębie. I znowu, gdyby ktoś chciał odpowiedzieć, jak należy wychowywać małoletnich przestępców!

Gdy odbywał się proces poznański i trzeba było ocenić stopień poczytalności oskarżonych, określić motywy ich postępowania, wzywano profesorów uniwersytetu, psychologa, socjologa. Gdy na codzień trzyma się w zakładach poprawczych po kilkuset małoletnich przestępców, nikt nie pyta, jacy oni są, dlaczego tak postępują, może chorzy, może anormalni? Wychowawcy w zakładach poprawczych co dzień stają przed zagadką: nie wiadomo, jak z tym chłopcem postępować, wczoraj mówił do rzeczy, zabrał się do pracy, obiecywał poprawę, dziś wszystko inaczej, pobił kogoś, odmówił pracy. Zmienność i pobudliwość wychowanków zupełnie obezwładnia wychowawców. Praca, która dawałaby jakieś wyniki, wymaga wiedzy wybitnych specjalistów: lekarzy psychiatrów, psychologów, najbardziej doświadczonych pedagogów.

WYCHOWAWCY I JESZCZE RAZ WYCHOWANKOWIE

Kogo stawiamy oko w oko z tym najtrudniejszym zagadnieniem pedagogicznym, jakim jest wychowanie małoletnich przestępców? Jest publiczną tajemnicą, że wychowawcami w zakładach poprawczych (nie inaczej jest w zakładach wychowawczych) są ludzie, którzy z pedagogiką nie mają nic wspólnego. Na tak ryzykowny krok rzadko decyduje się człowiek (oprócz zapaleńców, których też na szczęście jeszcze mamy), który ma szanse pracy w innym zawodzie. Rzadko zapuszcza się w te rejony nauczyciel, mimo że nęci się go większym zarobkiem. Można zapytać w dziale kadr zarządu zakładów dla nieletnich w Ministerstwie Sprawiedliwości, ilu ludzi zgłasza się do nich w poszukiwaniu pracy i ilu pierzcha czym prędzej obejrzawszy z bliska warunki, w jakich mają pracować.

Przestańmy się wykrzywiać z niesmakiem, że „wychowawcami" w zakładach poprawczych są rzeźnicy, szewcy, robotnicy fabryczni, strażnicy więzienni itd. Lepiej wyciągnijmy z tego wniosek, że dopóki wychowawca w zakładzie poprawczym narażony będzie w każdej chwili na bezkarne plunięcie mu w twarz i sponiewieranie go słowne przez wychowanka, dopóki nie będzie miał w rękach żadnej metody i żadnej egzekutywy, nikt nie pójdzie do tego zawodu prócz ludzi, którzy z różnych względów nie mają przed sobą żadnych widoków, i prócz ludzi bezgranicznie ofiarnych.

Ministerstwo Sprawiedliwości robi wszystko, aby podnosić kwalifikacje wychowawców przy pomocy kursów. Państwowe Studium Pedagogiki Specjalnej również kształci wychowawców. (Jak dotąd czterech na rok, czyli w ciągu 100 lat można się spodziewać kompletu pełnokwalifikowanej kadry). Tylko znowu niech ktoś odpowie: czy znany jest model takiego wychowawcy-specjalisty? Zdaje się, że wiadomo na pewno, jak kształcić specjalistów do zakładu dla głuchoniemych i niewidomych, ale nie wiadomo jeszcze, jak kształcić specjalistów do zakładów dla moralnie zaniedbanych.

Zapytajmy dyrektorów zakładów wychowawczych i poprawczych o wyniki pracy, a odpowiedzą nam dość dziwnie: nasza praca z młodzieżą w pierwszych latach powojennych i młodzieżą obecną nie da się porównać. Z młodzieżą zdeprawowaną przez wojnę mogliśmy sobie dać radę, ale z młodzieżą zdeprawowaną p r z e z w y c h o w a n i e nie możemy. Przestępstwa nie były mniejsze — kradzieże, morderstwa — tylko tamta młodzież z przypadku i zmuszona okolicznościami popadała w konflikt z prawem, w okresie kiedy cały świat się walił, dzisiaj popada nieomal z wyboru, w okresie kiedy nasze życie dawno powinno być uregulowane. Tamta młodzież chwytała rękę pomocną, którą jej podawaliśmy (każdy zakład ma dziś swoich wychowanków na stanowiskach, którymi się chlubi), dzisiejsza młodzież tę rękę odtrąca. Przestańmy już opowiadać sobie bajki o demoralizujących skutkach wojny, a mówmy wreszcie o skutkach wychowania. Małoletni przestępcy, którzy przychodzą dziś do zakładów poprawczych, to część naszej młodzieży, którą wychowywaliśmy w ciągu 12 lat, część naszej „wspaniałej młodzieży".

Miejmy odwagę rozpoznać wśród nich tych, którzy oduczyli się szanować ojca i matkę, tych, którzy zbagatelizowali nauczyciela, tych, którzy w dalszym ciągu lekceważą milicjanta, nabierają sędziego, nie uznają żadnej władzy ani norm współżycia obowiązujących w cywilizowanym społeczeństwie.

W zakładzie poprawczym wtykamy im natrętnie do ręki książkę, kiedy oni już dawno „pogniewali się" ze szkołą i byli wdzięcznymi świadkami, jak systematycznie obniżano autorytet nauki. W zakładzie poprawczym instruktor zabiega, aby przysposabiać ich do zawodu, ale oni — ci, którzy zakosztowali wysokich zarobków i łatwego chleba — mają w pogardzie starego ojca, który „tyra" za kilkaset złotych i mają w pogardzie wychowawcę, który skacze koło nich przez cały dzień za 700 zł.

Jednej rzeczy nie traci młodzież — poczucia swojej ważności i godności. Jest niezmordowana w stawianiu żądań i reformowaniu życia w zakładzie („Więcej sportu, mniej marmolady"). W tej postawie utrzymywały ją zresztą istniejące do niedawna w zakładach poprawczych koła ZMP.

PRZESTAŃMY STAWIAĆ PROBLEMY NA GŁOWIE

I oto w Kcyni bili. Znaleźli się wychowawcy, którzy używali niedozwolonych metod. Kto bił, w jakich okolicznościach bił, ile było w tym znęcania się, ile desperacji bezradnych ludzi — wyjaśni wynik śledztwa prowadzonego od kilku miesięcy pod nadzorem Generalnej Prokuratury. Samym problemem bicia nie mamy potrzeby się zajmować, wypowiedziała się już na ten temat współczesna pedagogika i ustawodawstwo. Ale powinniśmy się zajmować tym wszystkim — i systemem wychowawczym i bezradnością władz — co w konsekwencji doprowadza do tak drastycznych zajść, jakie wykryto w Kcyni (a może zdarzają się nie tylko w Kcyni). W Kcyni powstał „oddział o surowszym rygorze". Zebrano w nim sposobem „podaj dalej" najbardziej zaawansowanych małoletnich przestępców ze wszystkich zakładów poprawczych w Polsce (wiemy już, kto to jest). Wobec tego najtrudniejszego zjawiska pedagogicznego stawiamy wychowawców (wiemy już, jak są przygotowani)... Nie dziwmy się, że się pali, gdy sami podkładamy ogień. Porzućmy nie tylko średniowieczne metody wychowania — jak nawołuje „Po prostu" — ale porzućmy i średniowieczne sposoby rozumowania: nie odrywajmy zjawiska od całego łańcucha przyczyn.

Gdy tylko czynnik społeczny — między innymi prasa — wkracza w rejony wychowawcze, niesie przed sobą transparent, na którym jest wypisane: „Nie ma złej młodzieży, są tylko źli wychowawcy". A gdybyśmy tak przez chwilę przestali obnosić hasła i przyjrzeli się temu, co się wokoło dzieje, przekonalibyśmy się, że ta dobra młodzież źle przez nas wychowywana staje się prawdziwie złą młodzieżą. I zamiast rozpatrywać tylko przyczyny społeczne, które doprowadziły tego i tego chłopca do rabunku i morderstwa i zamiast ulegać fetyszowi organizacyjnemu, że przez coraz to lepsze warunki materialne w zakładach przekształcimy małoletnich przestępców — trzeba wreszcie postanowić, c o r o b i ć z takim chłopcem, który wcale nie staje się lepszym — przeciwnie dalej rabuje i morduje.

Zatrważające jest niezdecydowanie władz nadrzędnych w stosunku do małoletnich przestępców. Nasz system karny, to przysłowiowy papierowy tygrys. Schronisko to niby areszt, ale nie areszt, milicjant to niby milicjant, ale nie milicjant, zakład poprawczy to niby coś jak więzienie, ale nie więzienie. Małoletni przestępca doskonale jest w tym wszystkim zorientowany i z całym cynizmem mówi: „Mam 16 lat i jeszcze rok mogę „buszować", więzienie mi nie grozi". Otóż to. Młodzieży za najcięższe przestępstwo grozi tylko „wychowanie".

Dalsze utrzymywanie młodzieży przestępczej w poczuciu zupełnej bezkarności ukazuje nam niewesołe perspektywy, fala przestępczości nie maleje, ale rośnie. W obecnych warunkach, gdy nie dysponujemy w zakładach specjalnych ani odpowiednimi metodami wychowawczymi, ani odpowiednią kadrą, może należy się zdecydować na bardziej stanowczy krok, to jest trzymanie młodzieży przestępczej w o wiele surowszym niż dotychczas rygorze. Czy to będą obozy pracy, czy inna forma karno-wychowawcza, o tym niech decydują odpowiednie czynniki państwowe. Spójrzmy zresztą, jak rozwiązują te zagadnienia nasi sąsiedzi bliżsi i dalsi, u których postępowanie z młodzieżą przestępczą jest bardziej konsekwentne.

Tym większą uwagę trzeba skierować na wychowanie młodzieży moralnie zaniedbanej, która przebywa w zakładach wychowawczych a przede wszystkim zająć się bardzo poważnie i jak najpilniej opracowaniem systemu wychowawczego tak bardzo potrzebnego — w naszym szkolnictwie w ogóle.

M. DROZD-PASCHALSKA

Decentralizować - ale jak?

Nie czas na likwidację ODKO

OŚRODKI Doskonalenia Kadr Oświatowych mają zarówno swoich zagorzałych zwolenników, jak i przeciwników najrozmaitszych odcieni.

Gdzie tkwią źródła tej różnorodności stanowisk i sądów? Należy ich, moim zdaniem, szukać w poziomie pracy poszczególnych ogniw ODKO, jak również w niejednolitym poziomie naukowym i pedagogicznym samych nauczycieli. Ośrodki mają bowiem z jednej strony do czynienia z grupą nauczycieli, którzy wymagają doskonalenia, z drugiej zaś strony z nauczycielami, których trzeba douczać zarówno pod względem rzeczowym, jak i pedagogicznym.

Nie wszystkie ogniwa ODKO potrafiły w dotychczasowej swej pracy uwzględniać tę różnorodność potrzeb szerokiej rzeszy nauczycieli. Najwięcej niezadowolenia, i to jest zupełnie zrozumiałe, budzi słaba praca niektórych instruktorów. Ale czy argumenty te stanowią wystarczającą podstawę dla wyciągnięcia śmiałego wniosku, że dotychczasowy system doskonalenia kadr jest w swych fundamentalnych założeniach zły i że wobec tego należy go „natychmiast" zlikwidować? Osobiście uważam, że tak nie jest.

Wśród głosów likwidatorskich łatwo jest zauważyć dwie zasadnicze tendencje. Jedna z nich zmierza wyraźnie do zbiurokratyzowania pracy ośrodków, inna zaś do nadania im w całej pełni charakteru pracy społecznej nauczycieli. Wyrazem pierwszej tendencji są ostatnie artykuły zamieszczone na ten temat na łamach „Głosu Nauczycielskiego". Kolega Kołowrocki z Kalisza uważa, że „rychłe rozwiązanie ODKO" i „powiększenie liczby stałych pracowników pedagogicznych w administracji szkolnej" przyczyni się do lepszego zaspokojenia potrzeb szkoły i nauczyciela, a tym samym do uzyskania lepszych wyników nauczania i wychowania. W rzeczywistości jest jednak inaczej. W sformułowaniu kol. Kołowrockiego tkwi niesłuszne założenie, że kilku pracowników nadzoru pedagogicznego zdoła w większym stopniu uporać się z rozwiązaniem tych wszystkich trudności naszych szkół, które wypływają z pośpiesznego przygotowania kadry nauczycielskiej w liceach pedagogicznych, jak również ze zwiększonych wymagań programów szkolnych. Nie wiem, na czym oparte są te założenia, bo przecież pracownicy nadzoru pedagogicznego wydziałów oświaty w większości powiatów nie mogą się jakoś uporać z zagadnieniem doskonalenia pracy kierowników szkół i wobec tego coraz poważniej mówi się o przekazaniu tych czynności aparatowi ODKO.

Nie trudno zrozumieć, że pracownik wydziału oświaty nie ma warunków do tego, aby stanąć na wysokości zadania w zakresie doskonalenia nauczycieli z kilku przedmiotów. Sprawa doskonalenia zawodowego nauczycieli wymaga atmosfery szczerości, budzenia zainteresowań naukowych i refleksyjnego stosunku do pracy. Wszelkie akcenty administrowania, wyciągania służbowych wniosków na podstawie spostrzeżeń poczynionych w czasie wizytacji i innych form szkolenia, jak również ewentualność nadużywania władzy dla podtrzymania poddawanego w w wątpliwość autorytetu naukowego wizytatora, mogą jedynie sprawie zaszkodzić.

Ruch doskonalenia zawodowego nauczycieli ma w naszym kraju bogate tradycje, które trzeba brać pod uwagę przy ocenie perspektyw dotychczasowego systemu ODKO. Nie są to bynajmniej tradycje biurokratyczne. Starsi nauczyciele pamiętają inicjatywę ZNP w tym zakresie. Są ludzie, którzy przez oddanie sprawy doskonalenia zawodowego w ręce Związku chcieliby do tej tradycji nawiązać już w chwili obecnej. Jakkolwiek uważam, że w przyszłości takie pociągnięcie stanie się koniecznością, to jednak obecnie twierdzę, że nie mamy warunków do tego, aby przekształcić doskonalenie zawodowe wspierane materialnie przez państwo w ruch wybitnie społeczny kierowany przez Związek. Składają się na to następujące czynniki: niewystarczające zabezpieczenie materialne nauczycieli, nadmierna ilość godzin nauczania, zbyt wielkie obciążenie dodatkowymi zajęciami, jak również duże braki w wykształceniu nauczycieli wynikające z pośpiesznego systemu pracy liceów pedagogicznych. Wyszczególnione elementy powodują, że nauczyciel z konieczności wyczerpuje swą energię w pracy zawodowej, społecznej i w pogoni za dodatkowymi zarobkami, nie mając już czasu i sił na podnoszenie swej kultury naukowej i pedagogicznej.

Cóż więc należy robić w tej sytuacji? Moim zdaniem, trzeba w zasadzie pozostawić dotychczasowy system doskonalenia zawodowego nauczycieli, który mimo licznych błędów ma jeszcze w obecnych warunkach duże możliwości skutecznego działania. Aparatu ODKO nie trzeba likwidować, lecz uczynić wszystko, aby dostosować metody i formy jego pracy do aktualnych, tak różnorodnych potrzeb terenu. Należy również uczynić wszystko, aby obsada stanowisk instruktorów w powiatach była lepsza. Kierownikom PODKO należy umożliwić systematyczne prowadzenie lekcji w wymiarze kilku godzin tygodniowo. Aparat WODKO i CODKO należy w większym stopniu nastawić na pracę badawczą i uogólnianie doświadczeń przodujących nauczycieli. Tą drogą można by zwiększyć ilość i jakość publikacji metodycznych a tym samym ograniczyć zbyt częste wyjazdy aktywu PODKO po kropelkowy instruktaż do WODKO. Za zaoszczędzone fundusze można by organizować większą ilość wartościowych kursów wakacyjnych, które umożliwiłyby instruktorom, jak również licznym rzeszom nauczycieli zetknięcie się z przodującą kadrą pedagogów naszego kraju.

STANISŁAW TALARCZYK
Strzelce Krajeńskie

To nie rozwiązuje sprawy

SPRAWA pracy Ośrodków DKO jest zbyt poważnym zagadnieniem, by skwitować ją paroma wypowiedziami. Kol. Kołowrocki („Głos Nauczycielski" nr 41) ujął sprawę tylko od strony dotychczasowych możliwości, od strony statystyki wyjazdów hospitacyjnych, wskutek czego nie potrafił dojść do sedna sprawy i wysunął niesłuszny moim zdaniem wniosek o likwidacji ODKO.

Jednym z czynników hamujących pracę ODKO jest słabość nadzoru pedagogicznego, słabość wydziałów oświaty. Praca ODKO oparta o zasadę dobrowolności musi w wydziałach oświaty znaleźć pomoc i opiekę, znaleźć czynnik, który wspiera ją swoim autorytetem i zabezpiecza wykonanie wydawanych zaleceń i instruktażu. A z tym dotychczas było bardzo różnie. Lata ubiegłe pozostawiły po sobie w spadku wielkie spustoszenia w administracji szkolnej.

Praktyka lat ubiegłych polegająca na „ustawianiu kadr" spowodowała, że wybitni i doświadczeni fachowcy zostali od pracy w administracji szkolnej odsunięci, a na ich miejsce przyszli nowi, wprawdzie „dobrze ustawieni", ale bez kwalifikacji uprawniających do zajmowania tych stanowisk. Prymat kryteriów politycznych nad zawodowymi sprowadził naszą administrację szkolną w znacznym stopniu na bezdroża niekompetencji i rozstrzygania wątpliwości przy pomocy przepisów i schematów, a nie poprzez samodzielne stosowanie zasad marksizmu.

Praktyka okresu „kultu jednostki" doprowadziła do bardzo szkodliwego niedoceniania kwalifikacji zawodowych i legła ciężkim brzemieniem na treści i formach pracy ośrodków. Prowadzona w takich warunkach praca ośrodków nie znajdowała ani zrozumienia, ani poparcia ze strony wydziałów oświaty. Brak zainteresowania tą pracą ze strony znacznej części kierowników i dyrektorów szkół, obojętny a często i negatywny stosunek do sprawy podnoszenia kwalifikacji zawodowych, brak jakiejkolwiek egzekutywy i kontroli wykonywania zaleceń oraz wykorzystywania uwag, porad i konsultacji doprowadziły do postawienia pracy ODKO w roli „wołającego na puszczy". Jeśli do tego dodać jeszcze merytoryczne „różnice zdań" między ODKO a pracownikami wydziałów oświaty, dotyczące rozwiązywania różnych problemów dydaktyczno - wychowawczych, różny często instruktaż wynikający z przyczyn wyżej podanych, to otrzymamy obraz warunków pracy ODKO. Prowadziło to często do wzajemnych niechęci i antagonizmów, co bynajmniej nie pomagało samej sprawie.

Wiadomo, że przygotowanie pedagogiczne absolwentów liceów pedagogicznych, wyższych szkół pedagogicznych i uniwersyteckich jest niewystarczające. Pozostawianie tych ludzi samym sobie lub pokładanie wielkich nadziei w nielicznych wizytacjach byłoby krokiem ogromnie nierozsądnym. Czy w takich warunkach końcowy wniosek autora wymienionego na początku artykułu — o likwidowaniu ODKO zmierza do polepszenia istniejącego stanu rzeczy? Nie sądzę. To nie rozwiązuje sprawy.

Wydaje mi się, że poza starannym dobieraniem najlepszych i najbardziej doświadczonych nauczycieli do pracy w ODKO, wysiłki powinny zmierzać w kierunku znacznego przybliżenia specjalistów ODKO do szkoły i nauczyciela. Należy stworzyć takie warunki, by instruktor ODKO dysponował wystarczającą ilością czasu, pozwalającą mu na dotarcie do wszystkich nauczycieli, którzy tej pomocy potrzebują. Należy także stworzyć warunki, które pozwolą na obsadzenie wydziałów oświaty wysokokwalifikowanymi i doświadczonymi pedagogami.

STANISŁAW JANCZEWSKI
Szczecin

Dla szkoły za dobry

W wielu GS szkołom wydaje się węgiel najgorszej jakości i w ostatniej kolejności.

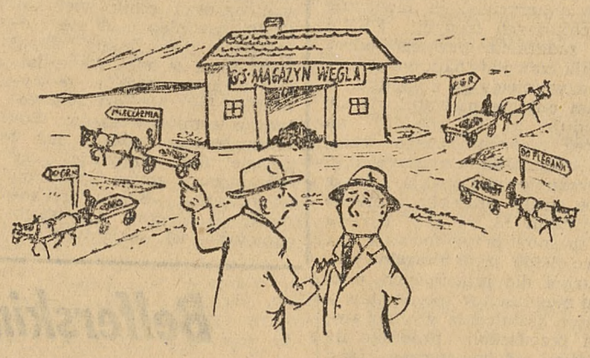

— To dla wszystkich węgiel jest, tylko dla szkoły nie ma?!
— Musicie jeszcze poczekać. Na razie mamy tylko pierwszy gatunek węgla.

(Według pomysłu kol. J. S. z Ostrołęki)

Nauczyciel — Dąbrowszczak

Stanisław Toporowski

NALEŻAŁ do tych ofiarnych działaczy ruchu rewolucyjnego, którzy zawsze i wszędzie stanowili przykład do naśladowania, umieli przekonywać ludzi i wciągać do współpracy z Komunistyczną Partią Polski.

Stanisław Toporowski urodził się w r. 1903 w Kielcach w rodzinie postępowego inteligenta. Uczęszczał do gimnazjum kieleckiego; już tam wyróżniał się inteligencją oraz zaletami charakteru. W r. 1922 wstąpił do Komunistycznego Związku Młodzieży i wkrótce potem został członkiem Komunistycznej Partii Polski. Studiował na uniwersytetach w Krakowie, Warszawie i Poznaniu, biorąc czynny udział w pracy partyjnej i młodzieżowej pod pseudonimem „Włodek".

W r. 1925 został nauczycielem prywatnym we wsi Rożnica, powiatu jędrzejowskiego, województwa kieleckiego. W ciągu blisko 2-letniego pobytu wywarł duży wpływ na młodzież tamtejszej szkoły rolniczej i okolicznych chłopów. Umiał trafić z żarliwym słowem propagandy komunistycznej do wielu działaczy chłopskich (m. in. do późniejszego pisarza chłopskiego, Mariana Kubickiego). Pozostał w pamięci chłopów z Rożnicy jako ten, który uczył rozumieć świat i wierzyć w lepszą przyszłość ludu pracującego.

Dwuletni okres pracy Stanisława Toporowskiego na wsi kieleckiej przyniósł poważne rezultaty: powstawały komórki partyjne wśród chłopów, rewolucjonizowała się młodzież chłopska, pozbawiona możliwości nauki i pracy. Był niezrównanym wychowawcą, lubianym przez młodzież chłopską. Młodzież chłopska powierzyła mu mandat na Zjazd Wojewódzki organizowanego przez sanację Związku Młodzieży Wiejskiej. Stanisław Toporowski wystąpił na zjeździe w Kielcach z gorącym przemówieniem, wskazując na reakcyjną i antyludową politykę rządów sanacyjnych. Przemówienie to wywarło silny wpływ na zgromadzonych delegatów młodzieży chłopskiej. W r. 1926 został sekretarzem Komitetu Dzielnicowego KPP w Kielcach, rozwijając w trudnych warunkach konspiracyjnych dużą działalność i niezwykłą pomysłowość. W r. 1929 został aresztowany i skazany wyrokiem Sądu Okręgowego w Kielcach na 5 lat więzienia. Przebywał w więzieniach w Kielcach i Grudziądzu, zyskując wśród współuwięzionych towarzyszy wielki autorytet, wyróżniając się siłą woli i hartem ducha.

Po uwolnieniu z więzienia przebywał krótko w Warszawie, gdzie nawiązał kontakt z grupą lewicy nauczycielskiej. Szczególnie serdeczna przyjaźń łączyła go z tow. Henrykiem Szulcem, z którym współpracował na terenie Kielecczyzny.

W r. 1936 został Stanisław Toporowski okręgowcem KPP w Kielcach, docierał wówczas do wielu miast i miasteczek, wsi i osiedli z żarliwym słowem propagandysty rewolucyjnego organizując front ludowy na Kielecczyźnie.

W r. 1937 Stanisław Toporowski wyruszył pieszo do Hiszpanii, zatrzymywany i aresztowany kilkakrotnie przez policję w różnych państwach, aż wreszcie dostał się do Paryża. Tam, chyba w sierpniu 1937 r. spotkaliśmy się po raz ostatni. Uczestniczyłem wówczas w obradach Międzynarodowego Kongresu Pedagogicznego w Paryżu i uzyskałem zaproszenie na wieczór pożegnalny naszych „Dąbrowszczaków", który się odbywał staraniem sekcji polskiej CGT. Kiedy wzruszony usiadłem na sali wśród uchodźstwa polskiego we Francji, ujrzałem wśród tych, co mieli nazajutrz wyjechać do Hiszpanii, Stanisława Toporowskiego. Jego przemówienie utkwiło mi w pamięci, było proste i bezpośrednie. Mówił o swej drodze życiowej, która prowadziła od ojczystej Kielecczyzny do dalekiej Hiszpanii, gdzie toczyła się wówczas zacięta, choć nierówna walka o przyszłość Hiszpanii i świata.

Po przybyciu do Hiszpanii został Stanisław Toporowski mianowanym komisarzem politycznym kompanii w batalionie im. Mickiewicza. Był lubiany przez żołnierzy i cieszył się zasłużonym autorytetem jako oficer polityczny.

W lutym 1938 r. został ciężko ranny w ataku na Sierra Quemada w Estramadurze. Przebywał w szpitalu w bombardowanej Barcelonie, skąd ewakuowano go do Francji. W r. 1939 został w Paryżu aresztowany przez policję francuską, uciekł wyskoczywszy w biegu z pociągu. Działał w szeregach konspiracyjnej partii komunistycznej we Francji. Po upadku Francji organizował tam Ruch Oporu przeciw hitlerowskim okupantom. W maju 1942 r. wpadł w ręce Gestapo. Rozstrzelano go wraz z 9 towarzyszami w forcie Mont Valerien pod Paryżem, 12 sierpnia 1942 r. W r. 1948 Stanisław Toporowski jako jeden z pierwszych przywódców polskiego Ruchu Oporu we Francji został odznaczony pośmiertnie francuskim krzyżem wojskowym i zaliczony w poczet bohaterów Francji. Nazwisko Jego wyryto na pamiątkowej tablicy ku czci rozstrzelanych.

Uchwałą Miejskiej Rady Narodowej w Kielcach nazwano imieniem Stanisława Toporowskiego jedną z ulic. Nauczyciele i młodzież liceum oświatowo-kulturalnego w Rożnicy zwrócili się z wnioskiem o nazwanie tego liceum imieniem Stanisława Toporowskiego.

Prof. MICHAŁ SZULKIN

Jacy będą od nas zależy

NASZ pobyt w Bartoszycach wypadł na jeden z nielicznych pełnych słońca październikowych dni. W czasie przerwy obszerne podwórze między budynkami szkolnymi wypełniło się więc gwarnymi gromadkami młodzieży. A jest tej młodzieży w ośrodku bartoszyckim spora gromada. W kompleksie budynków znajdują się bowiem dwa licea z internatami i Dom Wychowawczy. Warunki młodzież ma tu dobre — dużo przestrzeni, dokoła las, spokój, bo do miasteczka prawie kwadrans drogi.

Przed wejściem do budynku grupka dziewcząt otoczyła zwartym kręgiem ciemnowłosego chłopca.

— Mówię wam, że nie mam, naprawdę nie mam ani jednego — tłumaczy zniecierpliwionym głosem chłopak.

— Ale myśmy przecież zamawiały.

Chłopiec macha rękami — to bardziej przekonywające niż słowa. Dziewczęta jednak nie ustępują.

— Czemu my majemo ne jty? Wstydziłbyś się, żeby dla swojej klasy nie zostawić.

— Nie schowałem przecież, jak nie ma, to nic nie poradzę.

Okazuje się, że chodzi o bilety na popołudniowy koncert symfoniczny. Impreza to atrakcyjna, tego rodzaju gościnne występy są nieczęste, więc i chętnych dużo. Dziewczęta są rozgoryczone. Pierwsza klasa ma przecież takie same prawa jak inni.

Sytuację ratuje dyrektorka liceum, kol. Barbara Serkes. Mirek pójdzie do miasta i przyniesie z Rady Narodowej dodatkowe bilety. Wszyscy dostaną.

Dziewczęta biorą się pod ręce i odchodzą wzdłuż chodnika. Jedna z nich podaje ton i między budynkami rozbrzmiewa smętna, zawodząca ukraińska melodia. Śpiewają w tercji i w kwincie, automatycznie dzielą się na głosy...

★

W ciągu ostatniego roku powstało w Polsce ponad 150 szkół, w których jednym z przedmiotów jest język ukraiński. Skupiają się one głównie w powiatach wojew. olsztyńskiego, rozproszone są jednak i w innych województwach: białostockim, koszalińskim, szczecińskim a nawet wrocławskim. Organizuje się je wszędzie tam, gdzie ludność ukraińska występuje o utworzenie tego rodzaju szkoły. W niektórych miejscowościach, np. w Baniach Mazurskich, ukraiński jest w ogóle językiem wykładowym. Z punktu widzenia organizacyjnego otwieranie takich szkół nie jest prostą sprawą. Ludność ukaińska rozproszona jest w odległych od siebie wsiach, a trudno przecież wprowadzać język dla trojga czy siedmiorga dzieci. Łączy się więc uczniów w grupy i np. w 7-klasowej szkole uczą się oni na dwóch albo trzech poziomach. Czasem próbuje się rozwiązać sprawę przez szkoły zbiorcze, do których dzieci chodzą kilka kilometrów.

Drugi kłopot — to brak kwalifikowanych sił nauczycielskich. Funkcję ich muszą pełnić bardzo często nauczyciele społeczni, których przygotowanie ogólne, jak i znajomość języka, pozostawiają nieraz bardzo wiele do życzenia. W pewnej mierze sytuację tę miał poprawić kurs wakacyjny, jaki zorganizowano dla nauczycieli jęz. ukraińskiego w Milanówku. Nie rozwiązało to jednak sprawy.

Dlatego też w Liceum Pedagogicznym w Bartoszycach do dwóch pierwszych klas od września br. wprowadzono język ukraiński, uczy się w nich około 70 chłopców i dziewcząt ukraińskich. Będą oni za 4 lata wykwalifikowanymi nauczycielami języka ukraińskiego. W klasach z jęz. ukraińskim obowiązuje normalny program liceum pedagogicznego, z tym, że zamiast 3 godzin jęz. rosyjskiego mają one w programie 6 godzin ukraińskiego. Tak wysoką liczbę godzin języka ukraińskiego wprowadzono dlatego, aby dać młodzieży możność jak najszybszego opanowania języka. Żaden bowiem z ukraińskich uczniów bartoszyckiego liceum nie mówi płynnie w ojczystym języku. W wielu wypadkach język ich jest skażony, pełen rusycyzmów i polonizmów, co szczególnie wyraźnie występuje przy pisaniu. Początkowa faza nauczania języka jest więc nie tylko uczeniem, ale — co jest o wiele trudniejsze — wykazywaniem i prostowaniem błędów.

Oprócz nierównego poziomu uczniów (wielu z nich miało nawet kilka lat przerwy w nauce, wielu przyszło ze szkół zawodowych) pracę utrudnia bardzo brak podręczników. W czasie lekcji na jednych ławkach leżą egzemplarze „Naszego Słowa", gazety wydawanej przez niedawno powstałe Towarzystwo Ukraińskie, na innych — jakiś wybór tekstów czy zbiór wierszy. W najbliższym czasie podobno szkoła ma otrzymać kilkanaście bukwarów (elementarzy), chrestomatii (wypisów) oraz sporo lektury importowanej z USRR. Towarzystwo Ukraińskie obiecało także pomóc w zorganizowaniu biblioteki.

Niewątpliwie idealnie byłoby, gdyby ukraińskie dzieci mogły się uczyć z podręczników drukowanych specjalnie dla nich w Polsce i przystosowanych do naszych programów nauczania. Wydrukowanie takich podręczników, to jednak długa i skomplikowana sprawa i przy tak małym nakładzie bardzo kosztowna. Dlatego też wydaje się, że na razie należałoby pomyśleć przede wszystkim o jak najbardziej sprawnym zorganizowaniu importu potrzebnych podręczników. Posługiwanie się takimi podręcznikami będzie jednak wymagało od nauczyciela jęz. ukraińskiego bardzo poważnych uzupełnień. Zasadniczym jego zadaniem musi być wydobywanie, podkreślanie i rozszerzanie materiału dotyczącego łączności i powiązań kultury oraz historii polskiej i ukraińskiej. Trzeba więc będzie wzbogacić materiał zawarty w czytankach i podręcznikach np. przez omówienie kontaktów Szewczenki z Sierakowskim, Franki z Orzeszkową i Kasprowiczem, odpowiednio naświetlić związek Kociubyńskiego z literaturą polską, podkreślić zainteresowania Maksyma Rylskiego literaturą polską, a szczególnie Mickiewiczem itd.

Na razie w liceum bartoszyckim ukraińskiego uczą się tylko pierwsze klasy. W przyszłym roku młodzieży ukraińskiej w tym liceum będzie coraz więcej. Wobec dużego napływu kandydatów można będzie zapewnić w przyszłych latach właściwą selekcję zgłaszających się, co pozwoli na podniesienie poziomu szkoły. Istnieje ewentualność, że z biegiem czasu zakres języka w liceum zostanie rozszerzony, że nie tylko ukraiński, ale i niektóre inne przedmioty będą wykładane w języku ojczystym młodzieży.

Trzeba sobie jednak wyraźnie powiedzieć, że nawet przy najdalej idącym rozszerzeniu zakresu języka w liceum młodzież musi przerobić normalny program obowiązujący w liceum polskim, aby zdobyć pełne kwalifikacje. Należy też, i to jest sprawa nie ulegająca wątpliwości, stale pamiętać o tym, że liceum wychowuje obywateli państwa polskiego, w którym wespół z obywatelami narodowości polskiej będą budować socjalizm. Nie można zapominać o tym, że ludzie ci będą w przyszłości oddziaływać na dzieci i młodzież ukraińską. I od tego, jak potrafimy wychować tych przyszłych nauczycieli, zależy, czy zrozumieją oni rolę, jaką mają spełnić w społeczeństwie ukraińskim, czy staną się rzecznikami i propagatorami idei internacjonalizmu i aktywnej współpracy przy budowie naszej rzeczywistości, czy potrafią walczyć z ewentualnymi objawami nacjonalizmu czy nawet szowinizmu.

A więc wychowanie w duchu internacjonalizmu, to najważniejsze i najtrudniejsze zadanie, jakie stoi przez gronem nauczycielskim Liceum w Bartoszycach. Wydaje się, że wyniki tego działania będą w dużej mierze zależały od taktu i wnikliwości tych nauczycieli, od tego, czy potrafią oni umiejętnie wykorzystać każdą nadarzającą się okazję, aby realizować tę naczelną zasadę wychowawczą. A w okazje takie obfituje zrówno życie szkoły, jak i internatu. Mieszka tu przecież i pracuje razem młodzież polska i ukraińska. Sąsiednie liceum, to liceum polskie. Ileż tu możliwości, aby wyrównywać i zacierać poczucie krzywdy i ewentualnie niechęci zarówno jednej, jak i drugiej strony, aby uczyć wzajemnego szacunku i prawdziwego humanizmu.

Ot choćby teraz, w okresie kiedy byliśmy w Bartoszycach zaczęto przygotowania do obchodu Dekady Ukraińskiej. Jakie tu pole do pokazania folkloru ukraińskiego, pieśni, tańca i poezji. Przecież nie tylko młodzież ukraińska może śpiewać pieśni ukraińskie. Przecież barwny strój ukraiński nie ustępuje niczym naszym ludowym strojom. Trzeba tylko na to zwrócić uwagę, trzeba o tym mówić, trzeba pokazać.

Na pewno pożyteczne by było także nawiązanie kontaktu listownego z młodzieżą ukraińską mieszkającą na terenach USRR czy z polskimi szkołami we Lwowie. Korespondencyjny kontakt mógłby ewentualnie w przyszłości pomóc do zorganizowania wycieczki.

★

Wchodzę po południu do jednej z klas, gdzie młodzież odrabia lekcje. Mikołaj siedzi pochylony nad rozłożonym tomem poezji.

— Czytam — wyjaśnia mi szeptem — wiersze Franki, tak dla przyjemności. W ogóle książek ukraińskich czytałem bardzo mało.

— A lekcje odrobiłeś?

— Odrobiłem, mnie nie idzie trudno.

— A czy rozumiesz wszystko, co czytasz?

— Rozumiem, tylko ten język jest trochę inny niż u nas w domu. Mnie to ciekawi. Niby tak samo, a inaczej. I ten język jest taki, no... ładniejszy. Literacki — dodaje po chwili z uśmiechem, zadowolony z trafnego i nowego określenia.

— To znaczy, że ciebie bardziej interesuje język i literatura — pytam — niż matematyka?

— Matematyka też, ale to ciekawsze. Na uniwersytecie też można się uczyć i tego, i tego.

— Oczywiście, że można, istnieje też i filologia ukraińska.

— Tak — kiwa głową Mikołaj — to dobrze, że można się uczyć.

K. GAWĘCKA

Tajne nauczanie

„Niezwyciężona szkoła" — książka omawiająca dzieje tajnego nauczania. Od wielu lat była ona ściśle zakonspirowana. Wyszukanie jej wymagało wiele wysiłku.

Wskutek niedopatrzenia redakcji — w punkcie: Warunki Konkursu opuszczono bardzo ważne zdanie: „oraz uczniowie tajnych kompletów nauczania".

Właściwy tekst brzmi:

W konkursie mogą wziąć udział czynni i emerytowani nauczyciele i oświatowcy (także pracujący obecnie w innym zawodzie) oraz uczniowie tajnych kompletów nauczania, jak również b. jeńcy obozów hitlerowskich, którzy w obozach obok legalnej oświaty prowadzili oświatę tajną.

*

UDZIAŁ W KONKURSIE TAJNEGO NAUCZANIA

Zgłaszają swój udział w konkursie tajnego nauczania:

ADAM KOWALSKI kierownik Szkoły dla Pracujących w Łodzi

BOLESŁAW ŻACZEK nauczyciel Liceum Pedag. w Leśnej

Jak zmienić strukturę ZZNP

CODZIENNIE poczta przynosi do redakcji listy w sprawie zmiany struktury związkowej. Wnioski i projekty powtarzają się i nie przynoszą jakichś rewelacji, co jest zresztą zrozumiałe, gdyż pierwsi dyskutanci wypowiedzieli już niemal wszystkie zastrzeżenia i następne głosy to tylko takie czy inne warianty poprzednich.

W tej zbiorowej notatce postanowiliśmy uwzględnić specjalnie drażliwe dla związkowców punkty projektu i w przyszłości drukować już tylko głosy przynoszące coś nowego.

Uwagi w sprawie struktury związkowej nadesłali: **Oddział Powiatowy w Mławie, Rada Miejscowa ZOZ przy Technikum Hutniczym w Stalinogrodzie, kol. kol: Stanisław Marciniak z powiatu wieluńskiego, Edward Polski sekretarz Oddz. Pow. ZZNP w Krasnymstawie, Kazimierz Czarnomski z Koronowa, Alojzy Plichta z Kartuz, Jerzy Michniewicz z Warszawy, Jan Gruchała z Piły, Wacław Czapelski z Opacza i Władysław Maciejewski z Grudziądza.**

W ich relacji zmiana struktury związkowej miała zapobiec rozdrobieniu organizacyjnemu, tymczasem to rozdrobnienie powiększyło się o jeszcze jedno ogniwo. Większość kolegów wypowiada się za utrzymaniem dotychczasowej struktury z tym, że niektórzy proponują wrócić do dawnej nazwy „Ognisk", które w przeszłości zdały egzamin i nie ma powodów przypuszczać, że i obecnie nie zdadzą. „Ogniska" powinny obejmować kilka najbliższych rad gromadzkich na wsiach, a w miastach poszczególne dzielnice. Zresztą oddziały zorganizują je najwłaściwiej.

Kol. Marciniak pisze, że na plenarnym posiedzeniu Zarządu Oddziału w Mławie przy udziale przewodniczących ZOZ i MOZ proponowano, by „Ogniska" obejmowały około 30 członków.

Rozdrobnienie organizacji związkowych — stwierdza kol. Plichta — „doprowadziło do tego, że sprawy kult.-oświatowe były niedoceniane. Jedynie samokształcenie ideologiczne jakoś się obracało w ramach z góry narzuconych. Było jednak schematyczne, scholastyczne i ogólnikowe. Gdyby tak dłużej trwało, to dostalibyśmy w końcu sklerozy mózgu". Jeśli była jakaś praca w ZOZ — podkreśla kol. Czarnomski — to zawdzięczać to należy oddziałom i dlatego stanowczo protestuje przeciwko zmianie nazwy oddziału na ZOZ i podporządkowaniu go wydziałowi oświaty. Jeśli zmiana nazwy oddziału na ZOZ ma mieć jakiś sens, to tylko w odniesieniu do wyższych uczelni, instytutów naukowych, gdzie organizacja związkowa jest na prawach oddziału i odpowiada swej nazwie. Zmiana nazwy oddziału na ZOZ — pisze kol. Polski — byłaby tylko zmianą szyldów, pieczątek, wyrzuceniem pieniędzy związkowych w błoto. Sama tylko zmiana pieczątek pochłonęłaby kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Zadziwiające jest — podkreśla kol. Polski — że ZG ZZNP przedkładając projekt struktury pod dyskusję ogólnozwiązkową, ogłosił już uchwałę o kampanii sprawozdawczo-wyborczej opartą na nowym projekcie. Czy z taką uchwałą należy się liczyć — zapytuje kolega — jeśli ZG ZZNP nie liczy się z opinią członków Związku. — To znowu jedna z prób komenderowania, prowadzenia Związku „za rączkę", ustawianie go — dodaje kol. Michniewicz. To ustawiczne pouczanie ze strony administracji szkolnej, nadmiar „opiekunów" nie dodaje Związkowi powagi i nie budzi zaufania.

Mało jest głosów wyrażających aprobatę projektu nowej struktury. Są natomiast głosy wyrażające drwiny z tej eksperymentomanii Związku i CRZZ. Prawie powszechna, sądząc z listów, jest opinia, że w projekcie nie doceniono roli Związku, zbagatelizowano rolę oddziałów powiatowych a owe próby przekonywania, że praca nauczycielska, praca w szkole jest analogiczna do pracy w fabryce maszyn, są niepoważne.

Stawianie znaku równości — twierdzą dyskutanci — między strukturą ZZNP a strukturą innych związków dowodzi, że autorzy projektu nie przemyśleli go gruntownie.

S. B.

60 minut spraw przyziemnych

◆ ***A więc jednak może się coś dziać***

◆ ***Katastrofalne, bardzo złe i złe***

◆ ***Prawem kaduka***

PRAWDĘ mówiąc, nie mam zbyt dobrego mniemania o pracy powiatowych ogniw naszego Związku. Co gorsza, powszechne są wątpliwości także co do samych możliwości tych średnich ogniw nauczycielskiej organizacji. Sądzę, że dyskutowana obecnie struktura ZZNP po to właśnie została poddana krytyce, aby likwidować ogniwa martwe, zurzędniczałe, ogniwa - fikcje. Okazuje się jednak, że nigdy nie należy ulegać sugestii sądów, choćby najbardziej własnych — gdyż ni stąd ni zowąd jakiś poznany fragment życia, jakieś „głupie" 60 minut spędzonych w tej czy innej instytucji, z tymi czy innymi ludźmi potrafi podważyć sąd, na który, zdawałoby się, składały się lata obserwacji. Tak było ze mną w lubelskim Oddziale Grodzkim ZZNP. Co tam widziałem, obiektywnie czytelnikom przedstawiam.

ROZMOWA z koleżanką Owczarczyk nie była łatwa. Podobna była do biegu z przeszkodami. Ledwo uprzejma kierowniczka spraw socjalno - bytowych zaczynała o czymś opowiadać, coś przerywało rozmowę. To ktoś przyszedł, to dzwonił telefon, to trzeba było odebrać pismo, to oddać jakiś papier, po który zjawił się goniec. W sumie z tych 60 minut spędzonych w pokoju kol. Owczarczyk zaledwie połowa przypada na bezpośrednią rozmowę z nią samą. Reszta to obserwacja „czynności służbowych" kol. Owczarczyk, która pracuje w Zarządzie etatowo, oddelegowana specjalnie przez Wydział Oświaty do Związku. (Brr, pomyśli niejeden, administracyjna wtyczka do związkowego aparatu! Okaże się jednak, że i w tej dziedzinie nie ma reguły bez wyjątków!).

Nazwałem czynności koleżanki Owczarczyk „służbowymi", a nie „urzędowymi" celowo. Słowo „urzędować" ma u nas zasłużoną złą sławę i naprawdę byłoby krzywdą dla kol. Owczarczyk, gdyby nazwać jej pracę urzędowaniem. Oto np. zadźwięczał dzwonek telefonu. Kierowniczka socjalna zawiadamia wesoło: „Kolego Chyła, cieszcie się, przyznano wam trzytygodniowe wczasy lecznicze w Świeradowie". Ponieważ wiedziałem z poprzedniej rozmowy, że na 1900 członków Oddziału przyznano tylko 7 skierowań na październik, więc kol. Chyła powinien czuć się rzeczywiście tak, jakby złapał Pana Boga za nogi. Ale z dalszej rozmowy wynika, że wybraniec losu nie jest zadowolony z terminu wczasów. Wolałby jechać później niż 2 października. Zapytuje, czy nie można zmienić terminu skierowania. Byłem przekonany, że otrzyma odpowiedź odmowną. 90 socjalnych na 100 odpowiedziałoby: „nie", z dodatkiem kilku kwaśno-cierpkich słów o tych, którym „nigdy dogodzić nie można". Lubelski socjalny ZZNP zatroskał się tylko na chwilę, zajrzał do spisu i poinformował nauczyciela, że ostatecznie może jechać 30 października. Nie wolno zmieniać tylko miejscowości kuracyjnej, a termin... jakoś się zrobi.

No, załatwione — kol. Owczarczyk siada do przerwanej rozmowy ze mną — gdy ponownie dzwoni telefon. Tym razem dzwoni kol. Krawczuk. Znów wczasy — chce jechać, ale żona nie pracuje, więc opłata za dwie osoby przekroczyłaby jego możliwości płatnicze. Co robić? Kol. Owczarczyk nie udziela złotej rady: typu: „Jedźcie sami, przynajmniej odpoczniecie od żony", ale zaczyna „ruszać głową", aby znaleźć zadowalające wyjście. Wyjście znalazło się po ponownym przejrzeniu skierowań i list kandydatów — żona kol. Krawczuka pojedzie na wczasy pełnopłatne, ale za to mąż-nauczyciel otrzyma rezerwowe wczasy całkowicie bezpłatne. W ten sposób suma wydana na wczasy ze skromnego budżetu rodziny Krawczuków nie przewyższy kwoty dwóch skierowań ulgowych, jakie otrzymują pracujący nauczyciele.

W ciągu 60 minut (około godz. 11 rano) przewinęło się przez pokój trzech interesantów. Przyszedł kol. Chłopek z Wydziału Oświaty Prez. WRN, który rozliczył się z kosztów 24-osobowej wycieczki nauczycielskiej do Zwierzyńca, zorganizowanej przez ZOZ Wydz. Oświaty. Przyszła uczennica, córka pewnego nauczyciela, która musiała w pilnej sprawie porozumieć się z ojcem pracującym w szkole na przedmieściu Lublina. Choć to na pewno nie należy do obowiązków socjalnego, kol. Owczarczyk straciła dobre 10 minut na połączenie telefoniczne z tą szkołą i wywołanie ojca z pokoju nauczycielskiego. Ale córka nauczyciela mogła dzięki temu szybko przekazać tatusiowi, co „mama poleciła mu powiedzieć". Przyszedł przewodniczący pewnej ZOZ, aby dowiedzieć się, czy to prawda, że w nowych blokach są 4 mieszkania dla nauczycieli.

Jak na 60 minut dnia roboczego, w godzinach kiedy odbywają się lekcje i niewielu nauczycieli może wyskoczyć do Zarządu Grodzkiego — to liczba spraw niemała i chyba świadcząca o tym, że coś się w tym lubelskim ogniwie dzieje, skoro ludzie szukają go, dzwonią, przychodzą tu, radzą się. — A więc jednak może być tak, że w Związku coś się dzieje? — zapytałem kol. Owczarczyk. W odpowiedzi usłyszałem: — Działoby się o wiele więcej, gdyby...

CHODZI oczywiście o sprawy bytowe, a ściślej o mieszkaniowe, które w Lublinie przedstawiają się rzeczywiście bardzo poważnie. Można na to odpowiedzieć, że nie tylko w Lublinie, zgoda. Nie wynika jednak z tego, że należy pominąć tę kwestię, tym bardziej, że przykład Lublina wskazuje na to, iż sytuacja nie tylko nie ulega poprawie, lecz wręcz przeciwnie pogorszyła się w stosunku do roku ubiegłego. W teczkach Zarządu Grodzkiego spoczywa 240 podań nauczycielskich zawierających prośbę o przydział mieszkania.

Jeśli zastosować bardzo surowe kryteria selekcyjne, to okaże się, że 25 z tych podań pochodzi od nauczycieli będących w katastrofalnej sytuacji mieszkaniowej. Bo nie można chyba inaczej określić np. warunków mieszkaniowych wychowawczyni z Przedszkola nr 4 (numer mogłem przekręcić), która z dwojgiem dzieci mieszka w składziku pozbawionym zupełnie okien, pieca, o dziurawej podłodze, którego budowniczy nigdy nie przypuszczał, że tam ktoś będzie mieszkał! Tego typu spraw jest, jak powiedziano, 25. Przynajmniej połowa pozostałych wniosków dotyczy sytuacji bardzo złej, a zaledwie reszta po prostu złej.

Na tym tle nikogo nie zaskoczy cyfra 150 komisyjnych lekarskich wniosków na leczenie sanatoryjne nauczycieli chorych na reumatyzm, serce (na tle gośćca stawowego) i gardło. Wymowę tej cyfry trzeba sobie uzmysłowić: 150 skierowań na 1900 nauczycieli! To przecież blisko 10 proc.! A przecież w tej statystyce nie uwzględniono choroby par excellence nauczycielskiej, jaką jest gruźlica, bo dane cyfrowe o niej (dlaczego?) stanowią przedmiot zazdrośnie strzeżonej tajemnicy lekarskiej, jeśli nie wręcz państwowej. Nie łudźmy się także, że nasi lekarze dają skierowania na leczenie sanatoryjne wszystkim chorym — otrzymują je głównie chorzy „zaawansowani", a ilu jest w stadium początkowym, którzy muszą ustąpić w kolejce tym pierwszym?

Sytuacja jest naprawdę poważna i nie jest rzeczą słuszną, iż Związek nasz nie orientuje się w liczbie nauczycieli chorych na gruźlicę, gdyż uniemożliwia to skuteczną walkę o poprawę ich warunków mieszkaniowych i leczniczych, której nie da się wygrać na odcinkowych frontach powiatów czy nawet województwa. Chodzi tu o centralne zapewnienie równego z innymi grupami zawodowymi udziału nauczycielstwa w puli mieszkań nowowybudowanych i remontowanych, jak też opróżnianych przez instytucje i urzędy.

WEŹMY dla przykładu Lublin. Podczas gdy w roku ubiegłym przydział izb mieszkalnych dla nauczycieli wyniósł 48, to w roku bieżącym przyznano łącznie (!) ze Służbą Zdrowia izb 40. Z tego na nauczycieli przypadło 18 izb, zaś na pracowników Służby Zdrowia — 22. Nauczyciele nie są z pewnością „wrogami" lekarzy, pielęgniarek i salowych, ale to małżeństwo kwaterunkowe jest niezrozumiałe i krzywdzące dla obu stron. Sprawa jest poważna, bo nawet z tej śmiesznej liczby 18 izb nie przyznano w ciągu 10 miesięcy bieżącego roku ani jednej izby w Lublinie.

Czy Związek w tym zakresie coś robi? Owszem, ale to niefortunne małżeństwo medyczno - pedagogiczne jest dużą przeszkodą. A więc buduje własny dom nauczycielski, który łakomym spojrzeniem obrzucają nauczyciele, gdy przechodzą ulicą Dymitrowa. Jednak dom ten jest dopiero czerwonym zrębem murów, które nie tak prędko zaludnią się mieszkańcami. Po za tym wielkość tego domu niczym nie przypomina drapacza chmur i tak na oko może dać pomieszczenie najwyżej kilkunastu rodzinom nauczycielskim (na mikroskopijnej powierzchni mieszkaniowej).

Cichą zmową związkowców i dyrektorów szkół mnożą się akty „samowolnego" zajmowania izb lekcyjnych i świetlic w szkołach przez bezdomnych nauczycieli (np. w Szkole nr 2, w TPD nr 6 — łącznie 15 izb szkolnych na terenie całego miasta), ale nie jest to wyjście wygodne dla nauczycieli ani pożyteczne dla szkoły. Trwają też zabiegi o dopuszczenie nauczycieli do puli mieszkań zwalnianych przez różne instytucje (np. wojsko, Woj. Zarząd Łączności, Zarząd Budownictwa itp). Jednak i tutaj chyba trzeba jakichś dyrektyw odgórnych, bo przecież mieszkania otrzymują głównie pracownicy „zgęszczającej" się instytucji. A przecież nikt chyba nie przypuszcza, by można było w naszych warunkach zagęścić nabite jak pudełka z sardynkami budynki szkolne, aby zdobyć mieszkania dla nauczycieli

A więc jeszcze jedno zadanie dla centrali: wywalczyć dostęp do izb opuszczanych przez rozdęte instytucje i urzędy i to jeśli możliwe bez „spółek" ze Służbą Zdrowia czy z kimś innym.

Są to oczywiście sprawy bardzo „przyziemne". Cały dzień kol. Owczarczyk jest nimi wypełniony po brzegi. Myślę — czy nie byłoby dobrze, aby wypełniły one całą naszą działalność związkową? Może wtedy nauczyciele przestaliby pytać: „co daje nam Związek?", bo odpowiedź otrzymywaliby codziennie od życia.

MIKOŁAJ KOZAKIEWICZ

Nauczyciele też chcą wyjeżdżać za granicę

OSTATNIO prasa poświęca dużo miejsca wycieczkom zagranicznym. Za mały jednak jest udział nauczycieli w tych wycieczkach. Wyjazdy kilkuosobowych grup nauczycielskich nie mogą nas zadowolić, tym bardziej że nazwiska wyjeżdżających stale się powtarzają. Nauczyciele w terenie skarżą się na brak wiadomości o stanie szkolnictwa nie tylko w krajach kapitalistycznych, ale i w krajach demokracji ludowej. Pedagogika nasza mogłaby dużo skorzystać, gdyby w celach badawczych wysyłano specjalistów za granicę.

Nauczyciela na razie nie stać jeszcze na te wyjazdy, zwłaszcza że wciąż natrafiamy na kłopoty dewizowe. Jednak niektóre resorty trudności te już rozwiązały: ludzie wyjeżdżają w ramach tzw. wymiany resortowej specjalistów. Uważam, że Zarząd Główny ZZNP mógłby nauczycielom pomóc w podobny sposób, organizując wymianę między Polską a zagranicą. Trzeba by tylko zainteresować zagraniczne związki zawodowe nauczycielskie wyjazdami naszych kolegów za granicę na prawach wzajemności. Znam kolegów i koleżanki, którzy gotowi są opłacić pobyt „zagranicznika" w Polsce na okres 10 do 14 dni, zapewnić mu należyte mieszkanie, wyżywienie i możność zwiedzenia naszego kraju. Koszt takiego pobytu trzeba by obliczyć i pobrać równoważną sumę od chcącego wyjechać za granicę. Wyjeżdżający nauczyciel miałby zapewniony przejazd, zakwaterowanie, wyżywienie i podobne warunki w wybranym przez siebie kraju.

Najwłaściwszą formą wycieczek nauczycielskich byłyby wycieczki fachowców czy przedmiotowców. Niech nauczyciele języka rosyjskiego zwiedzą Moskwę, a romaniści Paryż, germaniści Berlin, angliści Londyn, klasycy Ateny czy Rzym. A w ogóle niech nasz nauczyciel nie zasklepia się w wąskim kręgu własnego podwórka.

Sądzę, że nie wnoszę do sprawy nic nowego, ale trzeba wreszcie umożliwić wyjazdy tym, którzy chcieliby poznać inne kraje.

Myślę, że czytelnicy „Głosu" wysuną jeszcze inne formy wycieczek i na łamach swego pisma podzielą się z nami swymi doświadczeniami i propozycjami.

JAN GRUCHAŁA
Piła

Dyskusja aktywu związkowego
nad systemem kształcenia nauczycieli

W DNIU 13 października br. obradowało Plenum Głównej Komisji Szkolno-Pedagogicznej ZZNP. Na porządku dziennym była sprawa rewizji systemu kształcenia nauczycieli i ocena nowego projektu Ministerstwa Oświaty w tym zakresie.

Nowy projekt wysuwa postulat kształcenia nauczycieli szkół podstawowych na poziomie wyższym w trzyletnich instytutach nauczycielskich, które miałyby być wprowadzone w życie w latach 1960—1965.

Nauczycieli szkół średnich kształcić się będzie — według projektu — w wyższych szkołach pedagogicznych, na uniwersytetach, w wyższych szkołach wychowania fizycznego, w wyższych szkołach muzycznych i w instytucie robót ręcznych i rysunków.

Nauczycieli szkół specjalnych ma się przygotowywać w trzyletnim instytucie pedagogiki specjalnej, wychowawców domów dziecka i zakładów wychowawczych — na dwuletnich studiach pedagogicznych, a wychowawczynie przedszkoli — w czteroletnich liceach pedagogicznych dla wychowawczyń przedszkoli.

Projekt przewiduje również przygotowywanie kandydatów do zawodu nauczycielskiego w drodze studiów zaocznych. Przewiduje się także wprowadzenie egzaminu praktycznego dla wszystkich nauczycieli.

Dyskusja nad projektem była żywa. Dyskutanci byli w zasadzie zadowoleni z projektu, podkreślali, że przewidziany w nim sposób przygotowania kadr nauczycielskich nawiązuje do chlubnych tradycji ZNP i jest zadatkiem pewnego odrodzenia zawodu nauczycielskiego, dźwignięcia go z upadku, w jakim obecnie niewątpliwie się znajduje, m. in. również na skutek niedostatecznego poziomu wykształcenia nauczycieli.

Dyskusja podkreśliła także słabe strony projektu, a przede wszystkim to, że nie określa on sposobu przygotowania nauczycieli do szkół zawodowych, do szkół dla pracujących, oraz że w niewłaściwy sposób stawia sprawę kształcenia wychowawczyń przedszkoli aprobując licea dla wychowawczyń jako ślepe ulice.

Dyskusja podkreśliła, że zakład kształcenia nauczycieli powinien nie tylko przygotować nauczyciela do pracy w szkole i w środowisku, ale również dać mu podstawy do wszechstronnego rozwoju.

(js)

O pewnej redakcji i niepewnej recenzji

W ORGANIE Ministerstwa Oświaty „Nowa Szkoła" nr 5 (wrzesień — październik 1956, którego Redakcja pozostaje w unii personalnej z kierownictwem Instytutu Pedagogiki, zamieszczono recenzję doc. dra Stanisława Kowalskiego omawiającą I tom „Rocznika" tegoż Instytutu Pedagogiki.

Autor opatrzył recenzję wstępem, z którego wynika:

że recenzja ta została wykonana dla „Głosu Nauczycielskiego" na zamówienie Redakcji z dnia 1.II br.;

że w kilka tygodni po otrzymaniu recenzji Redakcja „Głosu Nauczycielskiego" oświadczyła, iż recenzja jej nie odpowiada, gdyż spodziewała się ostrej krytyki tomu, a zwłaszcza artykułu A. Szemińskiej pt. „W walce z przeżytkami pedologii";

że zrazu Redakcja zaproponowała autorowi skreślenie z recenzji części dotyczącej artykułu A. Szemińskiej, a następnie — po dalszych kilku tygodniach — oświadczyła, iż z całej recenzji zamieści tylko część dotyczącą artykułu A. Guryckiej „O budzeniu zainteresowań...";

„Ponieważ — czytamy w zakończeniu wstępu — na podstawie umowy z Redakcją „Głosu Nauczycielskiego" byłem zobowiązany do omówienia całego tomu ze szczególnym uwzględnieniem artykułów zawierających problematykę psychologiczną i dysponowałem objętością 6—7 stron maszynopisu, a nadto ponieważ recenzja wykonana została na podstawie dyskusji nad książką z gronem nauczycielskim jednej ze szkół, czego nie doceniła Redakcja „Głosu Nauczycielskiego", wycofałem recenzję z Redakcji „Głosu Nauczycielskiego" i przesyłam ją Redakcji „Nowej Szkoły" wraz z niniejszym wyjaśnieniem".

STANISŁAW KOWALSKI

A oto list doc. dra Kowalskiego w tej sprawie, który otrzymaliśmy 7 maja br., a więc niewiele ponad cztery miesiące przed podpisaniem do druku numeru „Nowej Szkoły" zawierającego recenzję:

„Poznań, dnia 4 maja 1956 r. Do Redakcji „Głosu Nauczycielskiego" Warszawa. Nawiązując do rozmowy z Redaktorem, ob. Handelzalcową, przeprowadzonej we Wrocławiu w sprawie mojej recenzji z Rocznika Instytutu Pedagogiki, proszę o skreślenie z recenzji części dotyczącej pracy Szemińskiej o pedologii oraz o poczynienie dalszych redakcyjnych skrótów tekstu, jeśli to byłoby niezbędne. Bez szczegółowych uwag i życzeń Redakcji trudno mi było zdecydować się, co z recenzji można by skreślić poza częścią dotyczącą artykułu Szemińskiej. Pozostawiam więc skróty do uznania Redakcji z tym jednak, że proszę o takie obcięcie tekstu, aby zasadnicza ocena poszczególnych prac nie została zniekształcona. O wycofanie oceny pracy Szemińskiej proszę nie dlatego, abym zmienił swój pogląd na wartość tej pracy w zakresie jej zasadniczych wniosków teoretycznych, lecz dlatego, że dyskusja wrocławska nad krytyką pedologii w Polsce zwróciła uwagę na radykalne pociągnięcia praktyczne dokonane w wyniku krytyki pedologii i na potrzebę rewizji tych pociągnięć, jak również na potrzebę źródłowej oceny polskiego dorobku psychologicznego z punktu widzenia zarzutów, jakie się stawia pedologii. Z tych względów uważam, że publikowanie pozytywnej oceny pracy Szemińskiej byłoby w tej chwili nie na czasie. Sądzę, że przy skreśleniu części dotyczącej pracy Szemińskiej i nawiązaniu do pracy Guryckiej (ostatniego ustępu str. 2 i całej str. 3) recenzja nie będzie zbyt obszerna. Do decyzji Redakcji zostawiam też sprawę pozostawienia względnie zmiany tytułu recenzji.

Z poważaniem ST. KOWALSKI".

Ciekawi jesteśmy, n a k t ó r y m e t a p i e wymowność oświadczeń doc. dra Kowalskiego jest bardziej wiarygodna. Ciekawość tę tylko częściowo zaspokaja cała posiadana przez nas korespondencja w tej sprawie, która dla niejednego naukowca mogłaby stanowić ciekawe studium „kryteriologiczne" i „wpływopoznawcze". Mimo to solidaryzujemy się z doc. drem Kowalskim (tym z listu do nas) i potwierdzając motywację zawartą w przytoczonym wyżej liście w dalszym ciągu uważamy, „że publikowanie pozytywnej oceny pracy Szemińskiej byłoby w tej chwili nie na czasie", czego zdaje się nie podziela Redakcja „Nowej Szkoły". Tak bowiem należy chyba rozumieć fakt, że zamieściwszy odrzuconą przez „Głos Nauczycielski" wersję recenzji nie zajmuje żadnego stanowiska, jeżeli chodzi o meritum sprawy.

Nie dziwimy się temu, nie możemy bowiem wymagać od „Nowej Szkoły" zgodności jej poglądów z naszymi, np. co do działalności Instytutu Pedagogiki. Zresztą w ogóle nie uważamy absolutnej jednomyślności — za wszelką cenę i we wszystkich sprawach — za konieczność dziejową. Redakcja ma przecież prawo drukować bez komentarza to, z czym się merytorycznie zgadza, bez względu na opinię innej redakcji. Skoro jednak Redakcja „Nowej Szkoły" przyjmuje milcząco nie tylko wspomnianą recenzję, ale również „wyjaśnienie" autora, nie wnikając w istotę sporu, mamy chyba prawo zapytać, czy „Nowa Szkoła" to redakcja, czy raczej urząd pocztowy „nastawiony" na mechaniczne przekazywanie artykułów do drukarni.

Takiego dziadostwa jeszcze nie widziała

W CZASY tegoroczne spędzałam w Dziwnowie, pow. Kamień Pomorski, w nowootworzonym „Domu Wypoczynkowym ZZNP". Trzy stare krzesła, na których stały trzy miednice, dwa cynkowe wiadra i dwie konewki na wodę — to była umywalnia. Wodę przynosiło się i wynosiło z piętra w ciężkich wiadrach.

Na umeblowanie pokoju składały się trzy łóżka, w tym dwa zepsute, jedno krzesło, jeden wieszak i stół do prasowania, który był powodem tego, że do „mojego" pokoju przychodziło dziennie kilkanaście osób, by prasować, bo nigdzie nie było kontaktu na żelazko.

Dozorczyni tutejszego domu orzekła, że takiego dziadostwa jeszcze nie widziała.

Nie marzyłam o luksusie jadąc do Dziwnowa, ale raziło mnie np. picie herbaty lub kompotu z poszczerbionych kubków, bez uszka, pękniętych, tak że spodem płyn wyciekał.

Jeśli nie można było dobrze zorganizować tego domu wypoczynkowego, należało się wstrzymać jeszcze w tym roku z jego uruchomieniem. Było to po prostu nabieranie ludzi z całej Polski. Uważam, że nauczyciel na taki wypoczynek nie zasługuje. Jako związkowiec mam prawo zapytać, na jakie cele idą nasze składki, jeśli taki dom jak w Dziwnowie nazywa się domem wypoczynkowym ZZNP. Jak długo jeszcze będziemy musieli wysłuchiwać, że nasz Związek — to dziadostwo ?

ANNA BIGELMAN
Zawadzkie, pow. Strzelce Opolskie

OGŁOSZENIE

Dyrekcja Państw. Liceum Pedagogicznego i Zarząd Koła Absolwentów Liceum Pedagog. w Bielsku-Białej — zawiadamiają, że Zjazd Absolwentów Liceum Pedagog. i Komisji Rejonowej wszystkich roczników odbędzie się w dniu 10 listopada br. od godz. 9-tej. Zgłoszenia z wpłatą zł. 30.— na koszty wyżywienia i urządzenie wieczorka towarzyskiego — należy nadsyłać do dnia 2.XI.1956 r. do sekretariatu Liceum.

Konkurs „Po prostu"

CHCĄC się dowiedzieć prawdy o życiu, miejscu i roli w społeczeństwie współczesnej inteligencji, „Po prostu" w porozumieniu z Pracownią Socjologiczną w Łodzi — **ogłasza konkurs z nagrodami na opis życia, przemyśleń i dążeń inteligenta.** Celem konkursu jest zebranie materiałów autobiograficznych od tych wszystkich, którzy w ostatnim dwudziestoleciu zaczęli pracować w zawodach inteligenckich. Materiały te posłużą do wykorzystania w pracach publicystycznych oraz do naukowych opracowań.

Ponieważ nadsyłane opisy mają dać prawdziwy obraz współczesnej inteligencji, w ocenianiu ich będzie się brało pod uwagę takie cechy jak: szczerość, dokładność, prostota, obfitość informacji. **Opisy mogą być anonimowe.** Termin nadsyłania upływa z dniem 15.I.1957 r.

Przewiduje się m. in. następujące nagrody: I — 6.000 zł, dwie II po 4.000 zł, cztery III po 2.000 zł, osiem IV po 1.000 zł oraz 15 nagród po 500 zł.

Bliższe szczegóły o konkursie znajdą zainteresowani w ulotkach konkursowych, które można otrzymać w kioskach „Ruchu", w „Domach Książki" oraz w bibliotekach. Wszelkich dodatkowych informacji udziela Redakcja „Po prostu", Warszawa, ul. Wiejska 17 oraz Pracownia Socjologiczna PAN, Łódź 1, ul. Uniwersytecka 3, IV piętro.

Belferskim okiem

Z PRZYJEMNOŚCIĄ obejrzałam film młodzieżowy „Tajemnica Dzikiego Szybu", oparty na książce Edmunda Niziurskiego „Księga Urwisów". Interesująca fabuła, dobra gra aktorów-dzieci, udane zdjęcia — to niewątpliwie plusy tego filmu (pierwszego filmu dla dzieci produkcji polskiej). Ale są w nim i omyłki szczególnie uderzające nas, nauczycieli, przywykłych do tropienia błędów, wykazujące, że realizatorzy nie przekonsultowali pewnych spraw szkolnych z fachowcami. Oto kilka przykładów, które być może nieistotne dla filmu, jednak śmieszą i irytują nauczyciela.

Czy jest dopuszczalne w nowej polskiej szkole, aby dzieci musiały opanowywać p a m i ę c i o w o teksty zadań domowych i za brak opanowania pamięciowego zadania matematycznego otrzymywały oceny niedostateczne?

A niestety, w filmie tak jest, bo przecież mały Miksa, jeden z bohaterów filmu, męczy się niesamowicie przy tablicy, usiłując przypomnieć sobie tekst „zadania o szynce" i jest gromiony przez nauczyciela Sądeja (nb. mającego uchodzić za jednego z najbardziej pozytywnych nauczycieli w tym filmie i książce). A więc, ze znajomości metodyki arytmetyki „dwója"!

Druga sprawa: **Na tablicy** klasy VI (bohatera filmu i powieści) zjawia się napis: „Wolę iść na żebry, niż uczyć się algebry". Zapytuję. Od kiedy w klasie VI w programie nauczania jest algebra?

Coś krucho z tymi wiadomościami u realizatorów filmu, a to niedociągnięcie zauważyła nawet młodzież szkolna. A więc ze znajomości programów — „dwója"!

Sprawa trzecia. Od kiedy to kierownik szkoły zawiesza w czynnościach nauczyciela (w tym wypadku Sądeja) i to tylko na podstawie oszczerczego anonimu. A tak jest niestety w filmie. A więc ze znajomości pragmatyki nauczycielskiej: kompetencja kierownika szkoły — „dwója"!

Lichwiarskie oko „belfra" dojrzy w filmie kilka innych drobnych błędów, jak ten np., że w klasie VI używa się dzienników lekcyjnych typu licealnego, przedstawia się wizytatora z wydziału oświaty jako postać wywołującą popłoch w szkole i klasie itp.

Cenimy inicjatywę „Filmu Polskiego", że w swojej ubożuchnej działalności sięga nareszcie do problematyki młodzieżowej, ale skoro to już robi, to niech zaprosi na konsultanta filmu pierwszego lepszego nauczyciela, aby nie dopuścić do wypaczania realiów i dawania niesprawdzonego obrazu naszej szkoły, bo to jest kompromitujące.

Tych kilka uwag z troską o rzetelną prawdę dedykuje „Filmowi Polskiemu".

BARBARA CICHOWICZ
nauczycielka z Włocławka

Biblioteczna obstrukcja

BYŁ czas, kiedy terenowy aktyw nauczycielski nie mógł ścierpieć kosztownej dwutorowej organizacji bibliotek oświatowych i zaczął domagać się połączenia bibliotek związkowych z pedagogicznymi. W niektórych powiatach zaczęto nawet koncentrować zbiory biblioteczne w jednym miejscu.

Tę rozumną inicjatywę poparł czynnie prawie dwa lata temu Zarząd Główny ZZNP: oprócz kilku pism wysłanych w tej sprawie do Ministerstwa Oświaty przeprowadził wiele uporczywych rozmów z wieloma zainteresowanymi przedstawicielami tegoż Ministerstwa — od naczelnika Samodzielnego (!) Referatu Bibliotek do wiceministra włącznie.

Wprawdzie na żadne pismo Związek do dziś odpowiedzi nie otrzymał (precz z papierkową robotą!), ale z wielokrotnych ustnych pertraktacji stale wynikało, że nikt w Ministerstwie nie ma nic przeciwko przejęciu bibliotek związkowych przez biblioteki pedagogiczne. „Rozeszło się" tylko o drobiazg, mianowicie o zwiększenie budżetu Wydziału Bibliotek na prowadzenie połączonych księgozbiorów. Wydział Bibliotek Ministerstwa Oświaty uważał to za konieczne, a wyższe czynniki tegoż Ministerstwa były zdania przeciwnego, co oczywiście nie podważało przychylnych opinii wszystkich ministerialnych stron w sprawie połączenia bibliotek.

Zarząd Główny ZZNP uwierzył zapewnieniom przedstawicieli Ministerstwa, że sprawę mimo wszystko da się załatwić, i w styczniu br. polecił wszystkim instancjom związkowym ściągnąć księgozbiory z terenu, uporządkować je i w jak najlepszym stanie przekazać bibliotekom pedagogicznym. Jednocześnie rozwiązano wszystkie umowy o pracę z bibliotekarzami związkowymi.

Zdawałoby się, że przez ten czas Ministerstwo również się zdecyduje. Niestety, problem zwiększenia funduszu okazał się nierozstrzygalną racją stanu, a zarazem „obiektywną przyczyną" zlikwidowania pracy bibliotek związkowych i dezorientacji w bibliotekach pedagogicznych.

Ostatnia pisemna interwencja Związku, wysłana 19 lipca br. do ob. wiceminister Zofii Dembińskiej, podobnie jak wszystkie poprzednie — do dziś czeka na odpowiedź.

A wszystkiemu winni są właściwie naiwni nauczyciele-rozrabiacze. Już im nawet życzliwość nie wystarcza. Wydaje im się, że Ministerstwo Oświaty ma czas na z a j m o w a n i e s i ę jakimiś tam inicjatywami oddolnymi, i to w dodatku w sprawie bibliotek! Więcej umiaru, koledzy! Biblioteka nie zając, nie ucieknie...

(bis)

Dzień nauczyciela

PRZED kilku dniami w gmachu Zarządu Głównego ZZNP został zorganizowany przez Prezydium Rady Narodowej i Zarząd Oddziału Pow. ZZNP w Wołominie — Dzień Nauczyciela.

Na uroczystość tę przybyli bardzo licznie nauczyciele wszystkich typów szkół i placówek oświatowych z pow. wołomińskiego w liczbie ponad 500 osób oraz liczni zaproszeni goście.

Udekorowanie Złotą Odznaką Związkową przez przewodniczącego Zarządu Głównego, kol. Macha, koleżanki Baranowskiej i kolegi Siewierskiego sala przyjęła burzliwymi i gorącymi oklaskami życząc odznaczonym długich lat życia i zadowolenia z pracy.

Wielu nauczycieli spośród obecnych na sali zostało nagrodzonych upominkami.

Dużą ilość nagród dla nauczycieli przekazały zakłady pracy z pow. wołomińskiego i Prez. Pow. Rady Narodowej, Wydział Oświaty.

W części artystycznej wystąpił Zespół Pieśni i Tańca Dowództwa Wojsk Lotniczych, który zebrani gorąco oklaskiwali.

W uroczystości Dnia Nauczyciela wzięła również udział wycieczka nauczycieli z Danii. W rozmowie z duńskimi kolegami nauczyciele pow. wołomińskiego dzielili się swoimi doświadczeniami z pracy uzyskując w zamian od kolegów z Danii informacje o ich osiągnięciach i metodach pracy.

(SB)

Wydawca RSW „Prasa", Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 8-24-11. Redakcja Warszawa, ul. Spasowskiego 6/8. Telefon 61011 17 wewnętrzny red. 261, 262, 263, 264. Cena prenumeraty pocztowej wynosi: miesięcznie — 1.20 zł, kwartalnie — 3.60 zł, półrocznie — 7.20 zł. Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego". Gat. pap. kl. VII, form. 168 — 126, grm. 50/52. Nak. 96 675. Zam. 3894. B-23